

Owlient



Amira, egipska księżniczka

Christine Frasseto

Amira, egipska księżniczka

Prolog

Męczy mnie gorączka i poczucie wstydu. Jestem całkiem sam tu w Egipcie, dokąd przybyłem na rozkaz mojego generała, Ptolemeusza. Co się stało z moimi towarzyszami broni? Gdy generał wydał rozkaz odwrotu, opuściłem pole bitwy nad brzegiem rzeki Hydaspes. Widziałem jak Aleksander Wielki spada z grzbietu Bucefała w deszczu strzał posyłanych przez łuczników siedzących na drzewach i opancerzonych słońiach bojowych. Widziałem jak całe zastępy Greków, Macedończyków, Persów i hinduskich barbarzyńców giną w tych potwornych lasach, gdzie jedynie deszczu było więcej niż krwi. Trudno stwierdzić, kto wykazał się większym barbarzyństwem w tej masakrze: my, żołnierze Aleksandra, czy Hindusi?

Po wyruszeniu z Macedonii, w ciągu tych siedmiu lat, Aleksander podbijał jeden kraj za drugim, galopując na czele wojsk na swym wiernym rumaku Bucefale. Przed każdą bitwą dodawał nam sił i odwagi, obiecując złoto i chwałę, a piechurzy i jeźdźcy wykrzykiwali jego imię i przyrzekali, że dadzą z siebie wszystko. Ten człowiek, który przyjął tyle ciosów w bitwach, ile wszyscy weterani razem wzięci, potrafił zagrzać nas do walki ponad siły. Dzięki niemu zostaliśmy bohaterami i cieszyliśmy się poważaniem, chwałą i powszechnym uwielbieniem. Zapewniliśmy rodzinom bogactwo, a pamięć o nas nie zginie jeszcze długo po naszej śmierci. Czuliśmy ogromną radość, że możemy walczyć pod wodzą takiego króla jak Aleksander!

Lecz po pokonaniu niezliczonych przełęczy w górach Hindukusz – wpierw targani lodowatym wiatrem, potem oblewani strugami deszczu w tropikalnych lasach, gdzie roiło się od jadowitych węży, a brudna woda powodowała krwawą gorączkę – wielu z nas chciało wracać. Wciąż mam przed oczami naszego króla Aleksandra, siedzącego na okazałym, czarnym rumaku i zagrzewającego nas do walki pomimo zmęczenia i paralizującego strachu. Podążyliśmy za nim, kolejny raz. Ku własnej zgubie.

Nie zdobyliśmy ani złota, ani chwały. Czekala na nas jedynie śmierć i rozpacz. Po upadku rannego króla generał Ptolemeusz przejął dowodzenie. Powierzył mi misję, która na długi czas wywiodła mnie daleko od pola bitwy.

Popędziłem na zachód co tchu. W mojej głowie zaś rozgrywała się inna bitwa: przedmiot, który otrzymałem od Ptolemeusza zaczął przejmować kontrolę nad moim umysłem.

Głosy niewidzialnych istot nakazywały mi wrócić do króla, oskarżały mnie o zdradę i groziły najgorszymi mękami w Hadesie. W nocy nie mogłem spać, a na drodze stawały mi szkaradne węże o dziewięciu głowach. Próbowałem je odrąbać, lecz na darmo – głowy odrastały i mnożyły się w nieskończoność. Jechałem przed siebie na wpół przytomny, mijając starożytne piramidy Heliopolis, chroniące skarby egipskich faraonów w miejscu ich wiecznego spoczynku. Kamienne bóstwa zdawały się pełnić wartę przy tych piaskowych górach wzniesionych ludzkimi rękami. Pojechałem jeszcze dalej na zachód, uciekając od towarzystwa podróżników i mieszkańców lokalnych wiosek. To właśnie w tej

dolinie padł mój wierny rumak, ugryziony przez ogromnego węża. Pochowałem go z wielkim żalem, a potem próbowałem kontynuować podróż pieszo, lecz wkrótce pokonało mnie zmęczenie, palące słońce i choroba.

Kolejnej nocy przyszedł do mnie pewien biały koń, dając mi do zrozumienia, że mam iść za nim. Wyglądał identycznie jak mój zmarły wierzchowiec i ucieszyłem się, że spotkaliśmy się ponownie w Hadesie. Lecz gdy poczułem na twarzy jego ciepły oddech, zdałem sobie sprawę, że jeszcze nie nadszedł mój czas. Wstałem, opierając się o jego bok, i podążyłem za nim do jego schronienia, gdzie stopniowo odzyskałem siły, pijąc wodę ze źródła i żywiąc się owocami i małymi żyjątkami zamieszkującymi dolinę.

Nie byłem jednak pierwszym mieszkańcem tego budynku. Sądząc po wizerunkach pozostawionych przez przedstawicieli starożytnego plemienia, wykuli oni w skale modlitwy do swych bogów ze zwierzęcymi głowami – tych samych, którzy strzegli piramid. Nie wiem, dlaczego opuścili to miejsce, ale pozostawili po sobie dłuta i barwniki, a także zwoje papirusu, rośliny porastające okoliczne rzeki, na których zacząłem spisywać swoją historię.

Wkrótce jednak, pomimo ochrony egipskich bogów, przeklęty przedmiot znów zaczął mnie prześladować. Podjąłem więc haniebną decyzję i zostawiłem go, gdy miałem jeszcze dość przytomności umysłu. Musiałem tylko upewnić się, że nikt go sobie nigdy nie przywłaszczy. Przypomnił mi się fortel Odyseusza z czasów wojny o Troję - miasto, którego nawet wielki bohater Achilles nie zdołał podbić. Odyseusz rozkazał zbudować wielkiego drewnianego konia, a w środku konstrukcji schowali się najlepsi wojownicy. Konia pozostawiono przed murami miasta w charakterze daru i rozniosła się wieść o tym, że Grecy przerwali oblężenie Troi. O świcie Trojanie zauważyli konia i wprowadzili go do miasta. Gdy świętowali zwycięstwo, wojownicy wyszli ukradkiem z wnętrza drewnianej konstrukcji i otwarli bramy Troi. Grecka flota wróciła z ukrycia, by podbić miasto i zrównać je z ziemią. Mądry Odyseusz rzekł:

„Najlepiej ukryte są te tajemnice, które mamy tuż przed oczami”.

Zwoje papirusu znalezione w 2014 roku w jaskini w Dolinie Natronu w Egipcie. Autorem zapisów datowanych na 320 r. p.n.e. jest prawdopodobnie porucznik Demetrios z armii Aleksandra Wielkiego.

– Leyla, mój skarbie, czy karmel jest już gotowy?

Miły głos ciotki Wadihy wyrywa mnie z zamyślenia. Z moich ust wyrywa się krótki okrzyk, gdy odkrywam, że cenna zawartość garnka zaczyna brązowieć. Szybko wyłączam kuchenkę gazową, na palec wskazujący biorę kroplę gorącego płynu i upuszczam ją na brzeg filiżanki. Jeśli spłynie, karmel nie jest jeszcze gotowy. Jeśli natychmiast zastygnie, oznacza to, że jest w sam raz. I tak właśnie się dzieje. Szybko dodaję trochę wyciśniętego soku z cytryny i ubijam mocno całość drewnianą łyżką. Kilkakrotnie podnoszę łyżkę, z której powoli spływają pasma w kolorze miodu. Uff! Udało mi się uratować cenną miksturę, zwaną mylnie „karmelem”, co sugeruje słodki smak. Tak naprawdę jest to pasta cukrowa do depilacji, przeznaczona dla klientek salonu kosmetycznego mojej ciotki Wadihy!

– Masa’a al-khair! Dobry wieczór, drogie panie, przybywa wasz ulubiony oprawca!

Gdy wchodzę do sali głównej, wśród klientek następuje poruszenie. Zaczynają trajkotać niczym kury wystraszone wtargnięciem głodnego lisa. Nadeszła pora na cotygodniowy czwartkowy rytuał: zabiegi upiększające przed weekendem, który w Egipcie wypada w piątek i sobotę. Wymanikiurowane dłonie i pomalowane paznokcie tańczą w rytm śmiechu i łagodnych wulgaryzmów rzucanych pod moim adresem, gdy rozdają karmel kosmetyczkom.

– Jak to możliwe, że najładniejsza dziewczyna w całym Kairze przynosi takie nieszczęście? – chichocze Oum Alim, wprawiając w ruch obfite fałdy tłuszczu na swym ciele, które świadczą o bogactwie i miłości jej męża.

– Żeby być piękną, trzeba się trochę nacierpieć, Habibti! – śmieje się Sitt Dounia. – Zostawcie małą w spokoju!

– Podobno masz chłopaka – szept Patil Papazian jest tak głośny jak salwa z kałasznikowa, a ruchem oczu wyraźnie daje do zrozumienia, że ma ochotę poplotkować. Nadszedł czas na przesłuchanie... Dlaczego ciotka Wadiha musi opowiadać klientkom historię mojego życia? Czuję, że robię się czerwona jak burak!

– Czy twój książkę jest przystojny? Bogaty? Mam nadzieję, że nie jest rozwiedziony, choć to Amerykanin? Jak wyglądały oświadczyńy? Czy były romantyczne? Czy on ma własne mieszkanie? Ile chcesz mieć dzieci?...

Dzieci? Zupełnie nie o to chodzi między mną a Johnem! Łączy nas ze sobą tylko tyle, że pomógł mi poszukać pewnych informacji historycznych w Internecie, bo jest ekspertem w kwestiach informatycznych, a ja zupełnie sobie z tym nie radzę, a potem zaprosił mnie na obiad na kampusie i zaproponował, że po zajęciach odwiezie mnie do domu swoją zdezelowaną Simcą 1000... A dziś wieczorem chciał mnie zabrać na kolację do

Aleksandrii! Oczywiście odmówiłam. Za kogo on się uważa? Za księcia z bajki, który przyjechał na białym koniu nie wiadomo skąd, by odciąć głowę paskudnego smoka jednym ruchem szabli? Nawet w swych dziecięcych marzeniach strącałam księcia z grzbietu konia, by wyruszyć na jego rumaku w niesamowitą, niekończącą się podróż. Nigdy nie potrzebowałam księcia, by sobie poradzić w życiu i z pewnością nie potrzebuję go teraz!

Próbując zrećźnie zmienić temat, pytam klientki, czym chciałyby się poczęstować po tej całej karmelowej gehennie: do wyboru jest lemoniada, herbata, kawa, karkadé z kwiatów sudańskiego hibiskusa lub zwykła woda oraz zestaw łakoci przygotowywanych przez ciotkę. Miniaturowe porcje – by nie wzbudzać w klientkach poczucia winy – baklawy, mahalabiji, basbusy i katajefu, gęstego syropu z kwiatu pomarańczy, który jest bardzo tłusty i słodki...

Uwijam się w kuchni, przygotowując tace ze słodyczami i zerkając w międzyczasie na zawieszony na ścianie zegar. Wzdycham niecierpliwie. Salon będzie otwarty jeszcze przez dobrą godzinę, a potem nareszcie wolność! Z drugiej strony lubię atmosferę tego miejsca, tej oazy pokoju, w której spotykają się muzułmanki, druzujki, chrześcijanki i żydówki, by w myśl niepisanej umowy móc nawiązywać kontakty z innymi kobietami pomimo różnic religijnych. Gdyby nasi mężczyźni przywódcy, cynicy, tyrani, fanatycy i seksiści wykazali się podobną rozważnością, świat wyglądałby zupełnie inaczej! Odsuwam od siebie tę nierealną wizję i w myślach posyłam buziaka mojej wspaniałej ciotce, która z pewnością zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla! Jestem jej bardzo wdzięczna za to, że przekonała mnie, bym po zakończeniu studiów na Amerykańskim Uniwersytecie w Kairze rozpoczęła pracę w jej salonie kosmetycznym. Dzięki pensji, stypendium i hojnym bakszyszom, czyli napiwkom od klientek, mogę opłacić edukację praktycznie bez brania pieniędzy od rodziców. A do tego mogę studiować to, o czym zawsze marzyłam: archeologię, a w szczególności egiptologię, która pozwala mi rozszyfrować tajemnice niezwyklej egipskiej cywilizacji. Kto powiedział, że taka praca jest zarezerwowana dla mężczyzn?

Wreszcie dzień i tydzień dobiegają końca. Salon jest posprzątnany, wypolerowany i lśni czystością. Zdejmuję białą bluzkę, zakładam džinsy, koszulkę i trampki, a włosy zwiążuję w ciasny kok, który chowam pod kaskiem. Cieszę się, że nie mam kobiecych krągłości i mogę uchodzić za chłopaka, bo nie wszyscy Egipcjanie są równie tolerancyjni jak moja rodzina. Powinnam wspomnieć, że moja matka jest muzułmanką, która poślubiła katolika, amerykańskiego ornitologa, a jej siostra, ciotka Wadiha, wyszła za mąż za Kopta, wyznawcę ortodoksyjnego chrześcijaństwa – z pierwszego egipskiego kościoła założonego w roku 40 przez apostoła Marka. W ich czasach na pewno nie było to łatwe, ale wytrwali w swoim postanowieniu i jestem z nich dumna. Ja również wyjdę za mąż z miłości, jeśli uda mi się kiedyś spotkać wymarzonego mężczyznę! A dopóki nie nadejdzie ten dzień, zamierzam się cieszyć swoją „chłopięcą wolnością”. Spodnie są znacznie wygodniejsze do jazdy na skuterze lub konno!

Ciotka wkłada mi do plecaka spory pakunek owinięty folią aluminiową. Wyjaśnia, że

jest to torba z resztkami łakoci, których nie pochłonęły łapczywe klientki. Ale ja dobrze wiem, że zawsze planuje na czwartek ogromne ilości jedzenia, byle tylko podtuczyć trochę swoją siostrzenicę. Ściskam czule moją hojną ciotkę, która przypomina mi, żebym bardzo uważała na drodze, i wychodzę na podwórko, by uruchomić mój stary i często szwankujący skuter. Tak, to właśnie John przy nim ostatnio dłubał, bo równie dobry z niego mechanik co informatyk, ale dość już rozmowy na ten temat!

Przeciskam się pomiędzy stojącymi przy budynku koszami i przez bramę wychodzę prosto na ulicę, gdzie z każdej strony otacza mnie znajoma zabudowa, zapachy i odgłosy miasta. Witamy na ulicach Kairu, który potrafi być jednocześnie ekscytujący i ospały, tworząc niemożliwą do opisanego atmosferę. Z trudem manewruję między przechodniami. Wielu z nich poświęca ostatnie minuty przed zmrokiem na oglądanie wystaw sklepowych. Po zmierzchu imam znacznie nawoływać ludzi do modlitwy. Tłum jest bardzo gęsty i zróżnicowany: część osób nosi tradycyjne stroje, a część jest ubrana w stylu zachodnim. Omiotam wzrokiem kiczowate i przeładowane witryny sklepowe obok nowoczesnych butików w zachodnim stylu. Wyczuwam apetyczny zapach dochodzący ze straganów, gdzie sprzedają falafel, czyli smażoną ciecierzycę z dodatkiem sosu czosnkowego, soku z cytryny i pasty sezamowej. Są też ahouas – kawiarenki, w których mężczyźni palą sziszę, czyli egipską fajkę wodną, a także urządzają sobie zażarte partyjki tryktraka, które często kończą się zrzuceniem pionków z planszy. Na chodnikach pełno jest straganów z kasetami wideo, płytami CD i DVD oraz podróbkami znanych amerykańskich i europejskich marek, a także sprzedawców ryb, przypraw i blaszanych przyborów kuchennych. Ledwo udaje mi się zrobić unik przed sprzedawcą wylewającym wiadro wody, by zwilżyć zakurzony chodnik przed sklepową witryną. Przykucnięty opodal pucybut krzyczy z oburzeniem, ponieważ błotniste plamy zachlapały jego ławeczkę i teraz będzie musiał zacząć pracę od nowa. Do wybuchu kłótni między mężczyznami jednak nie dochodzi, gdyż do sprzedawcy właśnie przyszedł klient. Na jego twarzy znów pojawia się cukierkowy uśmiech i od razu zapomina o incydencie. W końcu docieram do ulicy, gdzie publiczna taksówka trąbi jak szalona na blokujący drogę wózek ciągnięty przez osła. Staram się omijać przeszkody najlepiej jak potrafię, choć mało brakowało do zderzenia z ciężarówką wypływającą kłęby czarnego dymu. Dojeżdżam do zakorkowanego skrzyżowania pełnego pojazdów w różnym wieku i wreszcie wyjeżdżam na szeroką ulicę, gdzie mogę się rozpędzić.

Niestety ruch jest ogromny i samochody stoją niczym chmara much w otwartym słoiku z miodem. Policjant może sobie do woli gestykulować i dmuchać w gwizdek, ale i tak nic to nie da, bo w czwartkowe wieczory w Kairze zawsze są okropne korki. No cóż, spróbuję pojechać inną trasą, choć mniej bezpieczną, bo biegnącą przez Plac Tahrir, zwany również Placem Wyzwolenia, który był tematem tak wielu dyskusji od czasu egipskiej rewolucji z 2011 roku...

Po rewolucji czułam się dość zagubiona, podobnie jak wielu moich rówieśników. Miałam wtedy dopiero 14 lat i poczułam wolność, która poruszyła nasze serca i umysły oraz wywiodła na ulice całe tłumy ludzi, co skończyło się krwawymi starciami, represjami i przemocą ze wszystkich stron. Powrót do normalności był bardzo trudny i nauczył nas większej ostrożności. Czy warto ryzykować pobicie, by wyrazić swoje zdanie? Przerzuciliśmy się na stacje radiowe i sieci społecznościowe i pomimo rozczarowania,

wciąż mamy nadzieję, że uda nam się zmienić ten świat na lepsze.

– Yallah! Z drogi, idioto!

Zatopiona w myślach, nie zwróciłam uwagi, że samochody znowu zaczęły się posuwać do przodu, tak powoli jak rozlewający się ciepły karmel. Niecierpliwe trąbienie i agresywne gesty towarzyszące tyradom kierowców mobilizują mnie do działania i szybko ruszam przed siebie, przeciskając się między sznurami samochodów. Decyduję się na objazd przez alejki biegnące wzdłuż kanałów na Nilu, pod balkonami wypełnionymi kwitnącymi kwiatami, gdzie zapach szlamu i ryb konkuruje z aromatem róż i jaśminu. Tutaj przynajmniej powietrze nie jest tak zanieczyszczone spalinami. Następnie znowu wyjeżdżam na główną ulicę prowadzącą na południowy wschód miasta. Odbijam trochę na północ, by wyjechać na drogę do Aleksandrii. Dołączenie do zespołu słynnego francuskiego archeologa Jean-Yvesa Empereura, który prowadzi ratownicze wykopaliska w centrum Aleksandrii, to prawdziwa gymkhana. Oprócz niesamowitych podwodnych znalezisk w miejscu zabytkowej latarni, gdzie odkryto pozostałości z ery ptolemejskiej, Aleksandria skrywa bowiem wiele innych tajemnic. Na ruinach starożytnego miasta zbudowane nowe i prowadzenie prac archeologicznych jest możliwe jedynie przy okazji wyburzania starych budynków oraz budowy lub rekonstrukcji dróg i mostów. Może któregoś dnia wreszcie odkryjemy grobowiec Aleksandra Wielkiego?

W 283 r. p.n.e. tuż przed swoją śmiercią jego były grecki generał Ptolemeusz, założyciel długiej dynastii faraonów, której ostatnią przedstawicielką była temperamentna królowa Kleopatra zmarła w 30 r. p.n.e., ukończył w mieście budowę grobowca Aleksandra Wielkiego. Ptolemeusz sprowadził zmumifikowane szczątki zdobywcy z Memfis, by złożyć je w miejscu ostatecznego pochówku, godnym jego wielkiej chwały. Jednak mimo wielu konfliktów, pożarów, niszycielskich trzęsień ziemi i działań chciwych rabusiów oraz bezwzględnych łowców skarbów zafascynowanych Egiptem nikomu nie udało się odnaleźć słynnego grobowca. A gdyby tak mnie udało się go znaleźć?

No dobrze, dość już tego bujania w obłokach. Biorąc pod uwagę, że jestem tylko stażystką i mam ogromne szczęście, że w ogóle pozwolono mi wziąć udział w ostatnich pracach wykopaliskowych, bardziej prawdopodobne jest, że spędzę całe godziny na kolanach, przesiewając ziemię w poszukiwaniu ceramiki lub kości kurczaka pozostałych po starożytnym posiłku. W archeologii jednak cierpliwość jest równie ważna co pasja i trzeba zacząć od zbierania nawet tak mało znaczących śladów jak skamieniałe śmieci!

Mijam zniszczone budynki i za rogiem widzę monumentalne piramidy na płaskowyżu Giza. Majestatyczne grobowce Cheopsa, Chefrena, Mykerinosa oraz innych królów, królowych i dostojników z ery faraonów, a także słynny Sfinks – to wszystko pozostałości po wspaniałej egipskiej cywilizacji sprzed 4500 lat. Mimo że znam je na pamięć, po plecach przebiega mi dreszcz zachwyty. Gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, postanowiłam zostać archeologiem.

Jako dziecko czułam się niczym Howard Carter odkrywający grobowiec i wspaniałe

skarby Tutenchamona w Dolinie Królów na początku XX wieku. Doprowadziłam rodziców do rozpaczy, gdy zobaczyli przeorany ogródek i ściany pokryte nieudolnie namalowanymi, lepкими hieroglifami...

Jednak ponieważ nie można jeszcze podziwiać moich przyszłych odkryć, turyści z całego świata ograniczają się na razie do oglądania piramid. Na parkingu gromadzą się niezliczone autobusy, z których wysiadają tłumy ludzi zaczepianych przez sprzedawców pamiątek. Wiem, jak ważną rolę odgrywa turystyka w gospodarce mojego kraju, ale czasami marzę o pustych ulicach. W końcu wjeżdżam na „pustynną autostradę” łączącą Kair z Aleksandrią i, uważając na innych kierowców, którzy tak samo jak ja chcą szybko rozpocząć weekend, dodaję gazu...

Pustynna autostrada... Z całą pewnością nie jest pusta! Wkrótce zapadnie zmrok, a ja muszę walczyć ze zmęczeniem powodowanym przez oślepiający blask świateł samochodowych, które najwyraźniej można regulować wedle uznania zgodnie z egipskim kodeksem drogowym. Przejechałam już prawie 100 kilometrów, a ruch w obu kierunkach nadal jest bardzo intensywny. Mieszkańcy Kairu wybierają się na weekend na plażę, zaś autobusy wiozą turystów do stolicy. W Egipcie turyści masowo kierują się do Doliny Nilu, pomiędzy Abu Simbel, Luksorem, Kairem i Aleksandrią, by zobaczyć piramidy, świątynie, grobowce i mumie zmarłych faraonów. Inni wolą ponurkować w Morzu Czerwonym lub wspiąć się na mistyczną górę Synaj. Jednak 94% terenu to pustynie, na zachodzie Libijska, a na wschodzie Arabska. I skrywają one wiele nieznanymi skarbów. No nie, kolejny korek! Tym razem miałam już dosyć lawirowania pomiędzy rurami wydechowymi i śmieciami wyrzucanymi na drogę przez kierowców. Postanowiłam pojechać uliczkami Wadi El Natrun wzdłuż autostrady, a potem wjechać na nią z powrotem. Co prawda tamtejsze drogi nie są tak dobre, ale przynajmniej będę czuła, że jadę!

Po kilku wątpliwych manewrach na skuterze wjeżdżam w małą, wąską dróżkę prowadzącą na północny zachód w kierunku skalistych szczytów, które przecinają wydmy niczym pletwy grzbietowe zakopanych w piasku dinozaurów. Mało samochodów tędy jeździ, więc z westchnieniem ulgi stopniowo się rozpędzam. Ale nie za bardzo, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś koza postanowi nagle przejść na drugą stronę drogi. Albo kiedy trafi się niespodziewana dziura w nawierzchni, która pamięta jeszcze czasy króla Heroda. Może też się zdarzyć, że za zakrętem droga będzie zablokowana przez odłamki skał. Albo jakiś pies pasterski nagle wbiegnie mi pod koła bez ostrzeżenia... ach, te uroki peryferyjnych drózek! Uśmiecham się na widok oddalonych świateł samochodów, które utknęły na autostradzie, i przyspieszam trochę, chcąc zrobić im na złość. Nagle silnik mojego skutera zaczyna się krztusić. O nie, John, mam nadzieję, że te naprawione części nie zawiodą mnie właśnie w tym momencie! O mały włos przeleciałabym przez kierownicę. Próbuję się pozbierać i kontynuować jazdę, gdy nagle ogłuszający ryk klaksonu zmusza mnie do ponownego uskoku na pobocze. Ledwo co udaje mi się uniknąć zderzenia z wyładowanym arbuzami pikapem jadącym wprost na mnie, z zepsutymi światłami i ryczącym klaksonem. Kolejne wydarzenia następują po sobie w zwolnionym tempie, jak sceny w horrorze. Silnik się dusi, wydaje z siebie ostatni głośny huk, a potem zamiera, odcinając zasilanie dla świateł mijania, a ja czuję, że zostałam odrzucona na pobocze. Kładę stopy na ziemi i hamuję z całej siły, by razem ze skuterem nie spaść w przepaść, która jak miemam znajduje się dokładnie pode mną. Moje wysiłki okazują się jednak bezowocne. Koła skutera ślizgają się i nic nie jest w stanie powstrzymać upadku. Instynktownie odskakuję na bok, pozwalając, by skuter spadł, a ja długo koziolkuję w dół, po czym tracę przytomność.

Budzi mnie chłód. Z jękiem próbuję naciągnąć na siebie z powrotem kołdrę, lecz wszystko dookoła jest jakieś twarde i niewygodne. Gdzie ja jestem? Gdy sceny z wypadku na skuterze zaczynają do mnie docierać, podrywam się ze strachem. Oprócz bólu w kolanie wygląda na to, że nic mi nie jest – mój plecak zamortyzował upadek. Niezgrabnym ruchem zdejmuję plecak i kask, i rozglądam się dookoła. Wylądowałam na skalnym występie porośniętym ciernistymi krzewami, który zatrzymał mój upadek. Snop księżycowego światła rzuca upiorny cień na skalistą ścianę, której szczyt znajduje się piętnaście metrów nade mną. Nie mam szans, by wydostać się tą drogą. Zbocze biegnące w dół jest znacznie mniej strome. Jeśli mam się ruszyć w którymś kierunku, to na pewno w dół. Nie sądzę, by była jakakolwiek nadzieja na to, że uda się poskładać mój skuter z części bezładnie rozrzuconych daleko w dole.

Tymczasem ja wciąż żyję i muszę powiadomić zespół pracujący przy wykopaliskach, że miałam... mały wypadek i dołączę do nich... cholera, nie mam pojęcia, która jest godzina, oprócz tego że jest noc. No cóż, dołączę do nich najszybciej jak to możliwe. Otwieram plecak i wyjmuję telefon komórkowy. Ach. Zawartość plecaka, który pomógł mi zamortyzować upadek, wygląda żałośnie. Butelka wody eksplodowała, a łakocie zamieniły się w lepką masę okruszków zmieszanych z aluminium i kawałkami szkła, tworzywa sztucznego i elektroniki. Wyjmuję z telefonu kartę SIM, wycieram ją w koszulkę i wsuwam do kieszeni dzinsów. Wygląda na to, że będę musiała sobie poradzić bez telefonu. Jednym słowem powrót do prehistorii! Kontynuuję przeszukiwanie plecaka. Ach! Moja miniaturowa latarka nadal działa. Super! Jednak zapasowe ubrania na niewiele się zdadzą. Mój notatnik również cały się klei od tłuszczu, lecz w chwili olśnienia wyciągam długopis i zapisuję... nie testament, lecz moje dane i informacje kontaktowe osoby, którą należy powiadomić w razie mojej śmierci. No cóż, można to chyba mimo wszystko uznać za jakąś formę testamentu. Cholera, normalnie nie jestem aż taka pesymistyczna! Weź się w garść, wszystko będzie dobrze. Zostawiam plecak i kask z notatnikiem na widoku. Poszukam jakiegoś sposobu, żeby przedostać się na drogę i pojechać autostopem do Aleksandrii, nawet jeśli miałabym podróżować na wózku ciągniętym przez osła!

W zimnym świetle księżycy kuśtykam w dół skalistego zbocza, starając się omijać zarośla i kamienie przesuwające się pod moimi stopami. Będę oszczędzać baterie w latarce, na ile to możliwe. W tej chwili znajduję się w środku jakiegoś kanionu, w wyschniętym korycie starej rzeki, i mam wielką nadzieję, że dokądś mnie on zaprowadzi. Zatrzymuję się i nasłuchuję: mam wrażenie, że w oddali słyszę echo, coś jakby szept. Jeśli w okolicy są jacyś ludzie, z pewnością wskażą mi drogę powrotną do głównej szosy. Zmotywowana tą myślą, przyspieszam kroku. Niestety im bliżej jestem źródła tych odgłosów, tym bardziej tracę nadzieję, że jest tam jakiś człowiek. Ten dźwięk to raczej oddalony szum strumyka, szczególnie że pustynna roślinność, desperacko szukająca wody, zaczyna się zagęszczać. Przynajmniej będę mogła się napić. Odpycham na bok gałęzie akacji i zastygam w bezruchu. Chyba zauważyłam przez listowie jakiś biały kształt. Z mocno bijącym sercem mrużę oczy, by ustalić z ukrycia, co to za postać. Czy to dżalabija, tradycyjna egipska długa tunika bez kołnierza i pasa, a jeśli tak, to co

ta osoba robi w środku nocy na tym dzikim pustkowiu? Jednak nie, to coś jest dłuższe, stoi nieruchomo, nasłuchuje i wie, że tu jestem. Nagle niezidentyfikowany kształt wzdryga się i nerwowo podskakując, ucieka w popłochu przez krzaki. Słyszę oddalający się stukot kopyt na kamienistej ziemi, po czym odgłos zamiera. To biały koń! Mimo śmiertelnego przerażenia i niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazłam w tym odległym kanionie, przypadkowe spotkanie tego konia bardzo podniosło mnie na duchu. W głowie mam teraz tylko jedną myśl: muszę go znaleźć!

A dokładniej znaleźć ją, dziką klacz, nieuchwytną niczym blask księżycy. Idę powoli przez kanion, przedzierając się przez trzcinę, gałęzie tamaryszku i krzaczastą trawę halfa. By dodać sobie otuchy i przyzwyczaić klacz do mojej obecności, nucę egipską kołysankę, której słowa wyleciały mi z głowy. Następnie wymyślam pasujące do melodii uspokajające słowa, by klacz nabrała do mnie zaufania. Może to zadziała?

Najwyraźniej postanowiła pobawić się ze mną w chowanego. Za każdym razem, gdy się do niej zbliżam, widzę, że drżą jej mięśnie pod sierścią. Klacz odchodzi, lecz cały czas zwraca na mnie baczną uwagę. Czy ciekawość w końcu pokona strach? Nadal nucę kołysankę i tym razem udaje mi się podejść na odległość trzech metrów. Pod okazałą grzywką widać promienie księżycy odbijające się w jej dużych, czarnych oczach, poruszające się nozdrza i uszy obracające się w różnych kierunkach, niezdecydowanie niczym wiatrowskaz na wietrze. Stoję nieruchomo, by nie zepsuć tej magicznej chwili. Cicho kontynuuję nucenie melodii, podziwiając elegancką klacz, jej opływowe kształty, podniesiony ogon, silne mięśnie i długą, jedwabistą grzywę. Wyglądem i dostojnością przypomina egipskiego konia czystej krwi arabskiej, niezwykle wysoko cenionego w świecie wyścigów konnych. Amira, prawdziwa księżniczka. Co ona tu robi sama, w tym nieprzyjaznym kanionie? Czy uciekła z gospodarstwa hodowlanego? Czy była źle traktowana?

Ta córka księżycy jest przygotowana do uciezki, jak tylko zwietrzy coś podejrzanego, jak tylko lekko zaszumią liście, choć od czasu do czasu ugina kark i opuszcza głowę na ziemię. Szkoda, że nie mam przy sobie jabłka albo kostki cukru, by ją poczęstować. Może wtedy podeszłyby bliżej. Powoli, nie spuszczając z niej oka, wkładam rękę do tylnej kieszeni dzinsów. Kto wie, może znajdę tam jakąś zgniecioną kostkę rachatlukum lub torebkę cukru zabraną przypadkowo z uniwersytetu? Niestety ten prosty ruch wystarczył, by wzbudzić w niej wrodzony lęk przed drapieżnikami i znowu ode mnie ucieka, kładąc płasko uszy i kopiąc buńczucznie. Nie sądzę, by do mnie wróciła i czując obezwładniające przygnębienie, jak przy wyrwaniu ze wspaniałego snu.

Wzdycham ciężko, rozprostowuję zdrętwiałe kończyny i próbuję wrócić myślami do twardej rzeczywistości. Jest noc, a ja nie mam żadnego środka komunikacji ani transportu i utknęłam gdzieś na skalistym pogórzu Wadi El Natrun, doliny nazwanej tak z powodu wysokiej zawartości natronu – soli o właściwościach antyseptycznych i pochłaniających wilgoć, niezbędnej w starożytnym Egipcie do mumifikowania zwłok. Obecnie substancja ta służy do wyrobu szkła, a kryształy natronu zbierane są dwa razy do roku na brzegach słonych jezior, których zarys widać na dnie doliny. Zastanawiam się, czy nie iść po pomoc w stronę jezior, ale gdyby to była pora zbierania natronu, widziałabym światła palące się w obozach pracowników sezonowych zatrudnianych do tej ciężkiej pracy. Jedyne światło, jakie dochodzi od strony jeziora, to odbijający się od

tafli blask gwiazd. Będę więc musiała wspiąć się po zboczu góry i spróbować znaleźć jakiś szlak albo kontynuować wędrówkę wzdłuż wyschniętego koryta rzeki i liczyć na to, że uda mi się znaleźć wyjście. Nigdy nie byłam zbyt dobra we wspinaczce, więc decyduję się iść korytem. Skoro kiedyś płynęła tędy wartkim nurtem rzeka wpadająca do Nilu i Morza Śródziemnego, mnie też powinno się udać dotrzeć do morza... No to naprzód!

Nie mogę jednak dalej iść. Umieram z pragnienia. Odnoszę wrażenie, jakbym szła już kilka godzin i cały czas kręciła się w kółko. A niech to! Setny raz potykam się i upadam płasko na twarz, niczym wypadający z pieca nieudany bochenek chleba. Nie wiem, czy to na skutek potknięcia, ale nagle rozklejam się i łzy zwątpienia zalewają moją twarz. Niemalże chcę tu zostać, położyć się na ziemi i porządnie wypłakać, a potem umrzeć. Mam wrażenie, że bełkoczę bez składu i ładu, przez łzy wzywając na pomoc moich rodziców, ciotkę Wadihę, Johna i Amirę. Nagle słyszę dźwięk łamanych gałęzi, który wyrывa mnie ze stanu totalnego przygnębienia i czuję przyływ adrenaliny. Coś się do mnie zbliża z tyłu. Zatrzymuje się. Znowu podchodzi i wącza moją rękę. W jednej chwili strach zastępuje wielka radość. Przez włosy zakrywające mi oczy dostrzegam białą klacz Amirę. Czuję jej oddech i długą grzywę, która łaskocze mnie po dłoni i ramieniu. Klacz podchodzi bliżej, trąca mnie czubkiem nosa i wydaje z siebie stłumione rżenie, jakby chciała mnie obudzić, zachęcić do wstania. Wzdrygam się i Amira się odsuwa. Następnie, tak delikatnie jak tylko potrafię, przewracam się na bok i podnoszę. Amira przygląda mi się z niepokojem. Ale nie ucieka. Zwracam się do niej łagodnym szeptem, wstając powoli, by jej nie przestraszyć. Lecz gdy podchodzę, potrząsa łbem i robi kilka kroków w tył.

– Nie odchodź, Amiro, proszę!

Przez długi czas obserwuje mnie w bezruchu, a następnie odwraca się i robi krok w przód, potem kolejny. Obraca głowę w moim kierunku i tupie nogą. Chyba na mnie czeka, chce, żebym za nią poszła. Ruszam więc. Amira idzie do przodu, czeka na mnie, a ja staram się ostrożnie podążać jej śladem. Dokąd mnie zabiera?

Wkrótce znowu dochodzi do mnie rozbudzający nadzieję dźwięk płynącej wody. Strasznie chce mi się pić. To musi być jakaś iluzja, przecież roślinność jest teraz taka sucha i uboga. Liście, o które się ocieram, drapią moją skórę niczym nietoperze... raczej nie można tego porównać do masażu olejkami hammam po kąpieli parowej. Zamykam oczy i skupiam się na tym szeleście dobiegającym z oddali. Strumień wody płynie wzdłuż ściany, kropla odbija się za kroplą. Dźwięk staje się coraz bardziej tępy, głęboki, bulgoczący. Amira robi wrażenie zniecierpliwionej. Tupie nogą, żebym się ruszyła. Teraz wychodzi z koryta rzeki i prowadzi mnie wzdłuż wąskiego wąwozu, między skałami, w kierunku ogromnego, gładkiego głazu otoczonego przez krzaki. Zatrzymuję się, zdziwiona. Jak mam ominąć ten głaz?

Amira tupie niecierpliwie, odwraca się i ustawia za mną, popychając moje plecy łbem, by dać mi do zrozumienia, że mam iść dalej. Ruszam więc do przodu, tym bardziej że odgłosy płynącej wody przybierają na sile. Uświadamiam sobie, że Amira zaprowadziła mnie do źródła i odwracam się ku niej. Lecz ona jest już daleko z tyłu. Kiwa łbem, rży

cicho, po czym oddala się w przeciwnym kierunku. Jakby chciała mi powiedzieć, że teraz muszę sama o siebie zadbać.

Mam przed sobą głaz, ale wciąż nie widzę źródła. Wspinam się trochę wyżej i przykładam ucho do ściany, gdyż znacznie lepiej słyszeć tutaj kapiącą wodę. Dysząc ciężko, pokonuję cierniste krzewy, podchodzę do ściany i zaczepiam palce w szczelinie. Gdy wspinam się na palce nóg, by przyłożyć ucho do ściany, nieoczekiwanie tracę równowagę, pośliznąwszy się na kamyczkach. Spadam do tyłu na korzenie, ciernie i kamienie, lądując na czworakach. Ból w kolanie powraca, a w dodatku pieką mnie dłonie. Przeklinając swoją niezdarność, sięgam w kierunku ściany, by podciągnąć się na jednej ręce. Lecz poza kilkoma ciernistymi krzakami nie jestem w stanie niczego się chwycić, bo nic tam nie ma. Spadam głową w dół w ciemną otchłań...

Wygląda na to, że wpadłam do jaskini. Nie widzę jej końca. Właśnie teraz nadeszła pora, by zapalić latarkę. W skalistym korytarzu przesuwam się ostrożnie na czworakach, kierując się w stronę hipnotyzującego odgłosu wody. W moich skroniach pulsuje krew, a zmysły wyostrajają się z powodu oczekiwania i strachu przed tym, co mnie czeka. Co znajdę na dnie tej jaskini? Gniazdo jadowitych węży, stado młodych karakali, czyli rysiów stepowych, których matka rozerwie mnie na strzępy pazurami i kłami, by obronić i nakarmić swoje młode... a może mumię przystrojoną w amulety, która rzuci na mnie klątwę?

Po przejściu tunelem na czworakach około dziewięciu metrów, strop jaskini przestaje zahaczać o czubek mojej głowy i idzie ostro w górę. Muszę się trochę zgarbić, ale mogę normalnie chodzić. Skala jest tak gruba, że czuję się tutaj jak zamknięta w lodówce ustawionej na 5°. Jest dość zimno i zaczynam się trząść pod przepoconymi ubraniami. Podejście zaczyna się robić bardziej strome i wchodzę do jakiejś jamy, w której mogę się wyprostować. Dyszę jak stary wół, jestem bardziej odwodniona niż mumia i mam wrażenie, że moje mięśnie za chwilę całkowicie odmówią mi posłuszeństwa. Ale póki co nie natrafiłam na żadne nieprzyjemności. W świetle latarki przyglądam się ścianom jaskini i na skale po prawej dostrzegam strumyczki wody, które leniwie spływają do czegoś w rodzaju niecki. Woda spływająca z krawędzi ścieka z tyłu niecki, przesączając się przez skały w niedostępnym dla mnie miejscu. Opieram się na kolanach i nabieram wody w ręce, modląc się, by nie była zbyt słona z powodu zanieczyszczenia natronem lub nawozami chemicznymi. Okazuje się jednak, że jest to zwykła słodka woda. Nie pozostawia żadnego podejrzanego posmaku, bo jest dobrze przefiltrowana przez skały. Piję więc łapczywie, pełna wdzięczności dla niesamowitej białej kłaczy, która zrozumiała moją potrzebę i zaprowadziła mnie do tego źródła. Jakżebym chciała spotkać ją ponownie!

Po zaspokojeniu pragnienia mogę wyjść tą samą drogą, którą przyszłam, i spróbować wrócić do cywilizacji. Ejże, pod moimi stopami przesunęło się właśnie coś twardego i słyszę pobrzękiwanie. Wygląda to na jakiś pierścień, połączony z drugim... to metalowy łańcuch! Czy to możliwe, że ktoś był w tej jaskini przede mną?

Kołysząc się na boki, idę wzdłuż łańcucha i przesuwam jego ogniwa między palcami jak różaniec, uważając, by nie skaleczyć się zardzewiałymi odłamkami. Końcówka jest przykuta do skały w pobliżu niecki. Odwracam się i idę w kierunku drugiego końca łańcucha, zastanawiając się, co tam będzie. Bum! W tych ciemnościach, gęstych jak zupa z ciecioriki, nie zwróciłam uwagi, że znowu muszę się czolgać! Masuję obolałe czoło i zaczynam pełzać węzowymi ruchami po skale pod obniżonym sklepieniem. Ostrożnie posuwam się naprzód, gdyż dno zaczyna się wznosić, a ja zrobiłam już kilka zakrętów, przez co jestem kompletnie zdezorientowana. Docieram do korytarza, w którym znowu

mogę stanąć na nogi. Rozprostowując kręgosłup i rozciągając się, nagle uderzam przedramieniem w jakiś przedmiot z tyłu. Dostrzegam kawałek drewna przymocowany do jakiegoś metalowego pojemnika przykutego do skały. Sądząc po zapachu starej spalenizny, jest to pochodnia. Idę dalej w ślad za łańcuchem i rozglądam się dookoła. Skały, skały i jeszcze raz skały... na drugim końcu łańcuch też jest przykuty do ściany. Patrzę wokół. Nic tylko skały... i jakieś drewno! Ten kawałek jest prawie płaski i stoi pionowo, widzę też więcej podobnych desek... może drzwi?

Szukam jakiegoś uchwytu, by otworzyć tajemnicze drzwi, a potem orientuję się, że te deski przecież nie są do niczego przymocowane... może zostały tu umieszczone, by coś ukryć lub uszczelnić? Przesuwam je najdelikatniej jak umiem, odsłaniając wąski skalisty korytarz. Wchodzę do niego ostrożnie. W korytarzu jest bardzo ciasno, ale nie muszę się schylać. Ściany wydają się równiejsze niż w poprzednich korytarzach jaskini – niewątpliwie jest to dzieło człowieka... Nie mam innego wyjścia, jak tylko iść naprzód, moje serce bije coraz szybciej...

Uderzam stopą o przeszkodę na ziemi. To coś płaskiego. Nieco dalej i trochę wyżej kolejna przeszkoda... wykute w skale schody. Wchodzę po nich z wielką ostrożnością, a na końcu znajduję kolejne drzwi. Popycham je delikatnie, by sprawdzić, czy się otworzą, lecz drewno spróchniało do tego stopnia, że od razu ustępują z nieprzyjemnym trzaskiem. Stos połamanych desek i niezidentyfikowanych obiektów spada na ziemię z potwornym łoskotem. W powietrzu wzbijają się kłęby pyłu o zapachu zbutwiałego drewna i pośpiesznie schodzę kilka schodków w dół, gwałtownie kichając. Nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl: czy właśnie popełniłam niewybaczalny archeologiczny grzech? Co, jeśli zniszczyłam drewniany sarkofag z mumią? Zbezczęciłabym w ten sposób święte miejsce i zniszczyłabym ważne odkrycie!

Hałas wreszcie ustaje i przedmioty przestają spadać na ziemię, a ja próbuję dojść do siebie. Jako początkujący archeolog dałam się ponieść wizji odkrycia mumii przyozdobionych cennymi akcesoriami pogrzebowymi. Oczyszczam przed sobą ścieżkę na schodach i wspinam się w górę, dokładnie notując w myślach to, co znajduję. Wygląda to na zwinięte dawno temu kawałki materiału, które teraz łatwo się rozpadają... Odkładam je na bok. Dalej widzę fragmenty ceramiki, przedmiot prawdopodobnie wykonany z gliny. Następnie dostrzegam pęknięty drewniany kielich. Jak na razie ani śladu kości, bandaży, urn kanopskich czy amuletów. Tylko powszechnie używane przedmioty codziennego użytku. W przeszłości ktoś tu chyba mieszkał. Ciekawe, jakie sekrety kryją się dalej?

Czuję się jak Howard Carter. Jest 26 listopada 1922 roku i mam ochotę krzyknąć z rozpaczy. Po niezliczonych nieudanych wykopaliskach w Dolinie Królów, dziś z powodu braku funduszy kończy się ostatni sezon zaplanowanych prac. Nagle jakiś fellah krzyczy wniebogłosy, jakby opętany przez zwierzę Seta, straszego demona z głową szakala. Kilof robotnika uderzył w kamienny blok. Fella kłeka, oczyszcza gładki blok z piasku i znajduje pod spodem kolejny... Są to schody prowadzące do nietkniętego miejsca wiecznego spoczynku Tutenchamona, jego złotego sarkofagu i wspaniałych skarbów zachowanych w idealnym stanie.

Hmm... raczej wątpię, żeby rezultaty mojego „wiekopomnego” odkrycia trafiły na wystawę do Muzeum Egipskiego w Kairze, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, Muzeum Brytyjskiego w Londynie czy do paryskiego Luwru. Sądząc po spartańskim wyposażeniu tej niewielkiej jaskini, służyła ona za schronienie jakiemuś chłopu lub pasterzowi. Upleciony z trzciny materac rozpada się w pył, drewniany taboret łamie się na kawałki, gdy go popycham, a ceramiczny dzbanek pęka, gdy przypadkowo trącam go stopą. Ależ jestem głupia! Wzdycham głęboko, dając wyraz swemu rozczerowaniu, wielkiemu jak piramida Cheopsa, i przesuвам stopą pozostałości taboretu i dzbanka pod skalną ścianę. Uśmiecham się na myśl o nowej Indianie Leyli Jones, która pewnego dnia odkryje tę pieczarę. Przynajmniej nie potknie się o te resztki!

Bardzo chcę już stąd wyjść. Opowiem o swojej niefortunnej przygodzie moim kolegom ze studiów i Johnowi, pośmiejemy się i wypijemy mocną, bardzo słodką, czarną herbatę. To zdecydowanie nie jest ten dzień, w którym moje nazwisko przejdzie do historii i stanę się sławniejsza od samego Aleksandra Wielkiego. Wzdycham i szykuję się do powrotu schodami w dół, gdy nagle serce podskakuje mi do gardła. Z głębi ciemności wynurza się groźny wąż, jego głowa unosi się nad potężnym, wyglodzonym cielskiem. Z okrzykiem przerażenia wycofuję się w głąb jaskini. Jestem w pułapce!

Moje serce wali jak oszalałe, gdy obserwuję przesuważące się po kamiennych stopniach łuski gada. Gdy wejdzie do jamy, będę musiała się z nim zmierzyć, zabić go, zanim mnie ugryzie. Niestety, wydaje mi się, że jest to Naja haje, sądząc po jego nabrzmiałej szyi w kształcie dysku. Kobra egipska może osiągnąć powyżej 2,5 metra długości, a jej jad zawiera śmiertelnie niebezpieczną neurotoksynę. Jeśli uda jej się zatopić we mnie kły, moje mięśnie oddechowe zostaną sparaliżowane, a potem...

Nie chcę umierać! Omiotam ściany jaskini światłem latarki, szukając jakiegoś narzędzia do obrony lub ataku. Raczej nie będę szybsza od węża, tym bardziej że nie mam żadnej broni. Przydałaby mi się jakaś pałka, ale nie widzę tu nic takiego. Może mogłabym rzucić na kobrę ciężki koc, oślepiając ją w ten sposób i zapewniając sobie odpowiednio dużo czasu na ucieczkę po schodach. Ale ta kupka wystrzępionego materiału się nie

nada... Z niepokojem rozglądam się po jaskini. Muszę znaleźć jakiś sposób, by pozbyć się tego potwora, i to natychmiast!

Coś się właśnie poruszyło, a może to był tylko jakiś cień we wgłębieniu jaskini, rzucony przez skałę. Trzęsąc ręką kieruję światło latarki w tamtą stronę. Jeśli Naja przybyła tu wraz z całą swoją rodziną, łącznie z prababką i licznym kuzynostwem, to mam naprawdę przekichane!

Robię krok w tył, chwytam odłamek dzbanka i ściskam go w ręce niczym sztylet. Mamrocę pod nosem:

– Czy... Czy... Ktoś tam jest?

Moje pytanie oczywiście pozostało bez odpowiedzi. Na co ja liczyłam? Jestem tak przerażona, że po raz pierwszy w życiu chciałabym, aby mój książkę z bajki przyjechał na białym koniu, by odciąć głowę kobry i jej pobratymców jednym ruchem szabli! Jeszcze mocniej ściskam w dłoni kawałek dzbanka i ruszam w kierunku tańczącego na skale cienia. Ulegający przesądowi instynkt podpowiada mi, żeby rzucić odłamek w kierunku zacienionego obszaru, na wypadek gdyby była tam jakaś istota żywa. Mój prowizoryczny sztylet nie odbija się jednak od skały, lecz przechodzi przez jakąś zasłonę w tym samym kolorze. Wyjmując odłamek, rozrywam ją na kawałki. Czy za zasłoną kryje się wyjście?

Patrząc w kierunku schodów – kobry nadal nie widać. Szybkim ruchem odsuwam zniszczoną zasłonę na bok i idę, jak mi się wydaje, w kierunku wyjścia, lecz po drodze odkrywam coś, co odbiera mi mowę. Z pewnością nie znajdę tu żadnej ziemskiej pomocy, ale może mogłabym liczyć na boską, gdybym tylko miała w sobie odrobinę wiary. Za zasłoną znajduję bowiem jedną z najwspanialszych świątyń starożytnego Egiptu! Ściany i sklepienie jaskini pokryte są malowanymi płaskorzeźbami przedstawiającymi starożytnych bogów w charakterystycznym ujęciu profil/trzy czwarte/przód. Pod promieniami boskiego dysku słonecznego Ra widzę Horusa, wcielenie nieba i słońca z głową sokoła, Anubisa, boga z głową szakala, który chroni umarłych, Tota z głową ibisa, boga księżycy i patrona skrybów, a także wielu innych, przedstawionych głównie w scenach ofiarowania darów... Niesamowite!

Jeden z bogów zdaje się być otoczony szczególną uwagą ze względu na ogromną ilość składanych mu darów, takich jak dzbanki z olejem, kwiaty lotosu, buszle z ziarnem, pachnidła i tym podobne. Ale ten bóg ma postać zwyczajnej, stojącej pionowo, ludzkiej mumii z nakryciem głowy i napierśnikiem skryby... Dalej oczywiście Ptah, patron artystów i rzeźbiarzy – „sânkh”, czyli tych, którzy dają życie, w tym również twórcy tego niezwykle realistycznego dzieła sztuki... Następnie mój wzrok przyciąga kobieta w koronie, o szlachetnych rysach twarzy i ciele, bardzo mi kogoś przypomina... Gorączkowo rozszyfrowuję wygrawerowane nad postacią hieroglify...

„Nefertiti”, czyli „piękna, która przybyła”...

Moje ręce drżą bezustannie. Nie mogę uwierzyć w to, co udało mi się odkryć. Czy to naprawdę kartusz Nefertiti, słynącej ze swej urody królowej? Szukam wizerunku jej

męża, faraona Echnatona, u boku którego władała krajem ponad 3300 lat temu. Nie został on jednak przedstawiony na tych płaskorzeźbach. W tym momencie u stóp królowej dostrzegam maleńkie hieroglify, oznaczające imię sługi Ptaha, sânh Ptahmose...

W mojej głowie kłębią się tysiące myśli: wyobrażam sobie właśnie niesamowity romans skromnego rzeźbiarza i wyniosłej władczyni, gdy nagle światło latarki zaczyna niepokojąco migać, co brutalnie sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Muszę podzielić się ze światem tym niesamowitym odkryciem historycznym, bo tylko ja mogę to zrobić. Tylko co się stanie, jeżeli umrę od ukąszenia kobry? Odkładam bezużyteczną latarkę, wsuwam odłamek do kieszeni džinsów i zrywam resztę zasłony. Biorę głęboki oddech i ruszam w ciemnościach w kierunku schodów. Zamierzam oślepić zwierzę, a potem szybko je zadźgać...

Przez otwór w skalnym sklepieniu do jaskini wpada niezwykle, migoczące światło oświetlające głowę zastygłej w bezruchu kobry... Nie poruszyła się ani na centymetr! Kręcąc głową, by odegnąć oszalamiające uczucie niezrozumienia obserwowanego, kuriozalnego zjawiska. Jak zahipnotyzowana śledzę wzrokiem światło, które powoli przybiera na intensywności, przesuwa się w dół ciała węża, zmienia kolor na pomarańczowy, potem żółty, a na końcu gaśnie, co sprawia, że ciało kobry otacza tchnący spokojem półmrok. Nogi niespodziewanie uginają się pod mną i siadam na stopniach w całkowitym oszołomieniu. To światło zapewne oznacza, że zaczął się już nowy dzień, a wąż jest tylko naskalnym malowidłem umieszczonym przy schodach. Nie rozumiem jedynie, w jaki sposób mogło ono wywołać tak bardzo realistyczne wrażenie, że mam do czynienia z żywą kobrą? Autor tego malowidła musiał dostrzec ten efekt świetlny i wykorzystał go, by przekazać wiadomość temu, kto się tutaj dostanie, ale co właściwie chciał powiedzieć? I dlaczego namalował akurat węża?

Wypuszczam z rąk bezużyteczną zasłonę i ceramiczny odłamek i powoli schodzę po stopniach w stronę zupełnie nieszkodliwego gada. W religiach monoteistycznych wąż jest symbolem zła. Wystarczy przypomnieć sobie, co się stało z Adamem i Ewą, gdy ulegli kuszeniu węża... Ale w innych systemach wierzeń węże są symbolem nieśmiertelności, nieskończoności i pierwotnych sił umożliwiających stworzenie życia... Dla starożytnych Greków ouroboros, wąż zjadający swój własny ogon, był symbolem samozapłodnienia i nieustannej odnowy. Egipcjanie zaś czcili Ureusza, świętą kobrę ochraniającą faraonów. Podobnie rolnicy, ponieważ węże polowały na owady i myszy! Ten komunikat jest dla mnie zbyt niejasny. Jak mam wydedukować, o co chodziło autorowi? Stojąc przed wizerunkiem kobry wpatrującej się we mnie groźnymi oczami z zielono-złotymi plamkami, przypominam sobie pewną egipską legendę, która w dzieciństwie wzbudzała we mnie wielki strach. Legendę o złym wężu Apopie, władającym złowrogimi siłami, który zbuntował się przeciwko porządkowi świata...

Każdego ranka potężny wąż Apop atakował niebiańską łódź boga słońca Ra, by przeszkodzić mu w dotarciu do celu. Izyda używała wszelkich magicznych mocy, by pozbawić Apopa zmysłów i zdeorientować go. Kotka Ra, Bastet, cięła go na kawałki wielkim nożem. Set atakował go swoim harpunem. Obrońcy zwyciężali i horyzont przybierał czerwony kolor od krwi węża. Jednak Apop nie przestawał walczyć. W południe wypijał całą wodę z niebieskiej rzeki, by unieruchomić boga słońca. Na szczęście czciciele Ra zmuszali go do wyplucia cennego płynu i wieczorem krew węża po raz kolejny zalewała horyzont na zachodzie.

Sądzę, że z tej legendy z czasów faraonów płynie ponadczasowy wniosek. Skoro Apopa udaje się za każdym razem pokonać, ale nie można go do końca zniszczyć, jego istnienie należy przyjąć za część wszechświata. Przypomina nam to o kruchości ładu

wszechświata, który należy podtrzymywać, aby uniknąć rządów chaosu. Oj, chyba wpadłam w jakiś filozoficzny nastrój, to do mnie zupełnie niepodobne! W każdym razie myśl o tym, że Ra odsyła Apopa z powrotem w ciemność wpływa na mnie uspokajająco i, korzystając ze słabego, przyciemnionego światła przebijającego się przez szczelinę w sklepieniu jaskini, wspinam się z powrotem po schodach, by przywrócić porządek w tym miejscu. Nie z powodu pedantyzmu, jak wtedy gdy sprzątam w salonie kosmetycznym ciotki Wadihy na koniec dnia, ale ze względu na szacunek dla archeologicznych zasad. Gdy „szefowie” przyjdą zbadać moje odkrycie, znajdą to w miejsce w stanie możliwie najbardziej zbliżonym do tego, który zastałam po wejściu tutaj. Spróbuję z powrotem zawiesić zasłonę.

Pamiętam, że w trakcie jej zrywania spadło na ziemię trochę kamieni. W tamtej chwili byłam jednak skupiona na kobrze i nie myślałam o tym, jak odwieszę zasłonę na jej miejsce. Przyglądam się uważniej pozostałemu fragmentowi, aby zrozumieć, w jaki sposób zasłona została kiedyś zawieszona. Jednocześnie przesuwam dłoń po fasadzie nad łukiem wejściowym i zwisającym z niej fragmencie. Wygląda na to, że ktoś wykłuł bruzdę w skale, przytrzymał nad nią koniec zasłony, a następnie przymocował materiał kamiennymi i drewnianymi kolcami wbitymi w bruzdę przy pomocy młotka. Ejże, przy końcu łuku pod zasłoną jest jakiś uskoki... Wsuwam rękę pod zasłonę i odkrywam coś w rodzaju wyciosanej w skale wnęki. Jeśli mi się poszczęści, znajdę trzy narzędzia używane przez sânhów: drewniany młotek, miedziane dłuto i kamień szlifierski. Stojąc na palcach, grzebię po omacku we wnęcie. Po teksturze szybko jednak orientuję się, że to, co znalazłam nie służy do rzeźbienia. Jestem zawiedziona, ale z ciekawości wyciągam przedmiot z wnęki. Och! To zwój papyrusu, z lekko podniszczonymi brzegami.

Dobrze wiem, że z takimi materiałami trzeba się obchodzić z najwyższą ostrożnością i najpierw należy je nawilżyć i spłaszczyć, ale jestem zbyt podekscytowana i zaczynam rozwijać krusze arkusze. Pierwsze wyblakłe litery przypominają mi antyczną grekę. A niech to, dlaczego uczyłam się czytać hieroglify zamiast greki! Nieważne, eksperci się tym zajmą. Niechętnie odkładam zwój z powrotem do wnęki, zawijam zasłonę u dołu łuku i wychodzę z jamy, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie w kierunku boga słońca Ra w nadziei, że oświecili mi ścieżkę.

Wracam tą samą drogą, którą przyszłam. Najpierw w pozycji wyprostowanej, potem na czworakach i na leżąco, czołgając się niczym wąż i naśladując w odwrotnej kolejności etapy rozwoju człowieka: od niemowlęcia, przez wiek dziecięcy, aż do dorosłości...

Po pokonaniu wszystkich korytarzy i jaskiń mogę się wreszcie znowu wyprostować i przywitać nowy dzień. Głęboko oddycham i cieszę się widokiem doliny budzącej się do życia. Po wyjściu z przytłaczającej ciemności panującej w korytarzach jaskini, krajobraz kolorowej doliny to prawdziwa uczta dla oczu. Podziwiam odcienie piasku, ochry, skał i listowia, a spoglądając w górę, dostrzegam skąpane w promieniach wschodzącego słońca krawędzie zbocza. Czy starczy mi sił, by wspiąć się tak wysoko i zorientować, gdzie jestem? Muszę znaleźć trasę biegnącą przy klasztorach koptyjskich. Gdy tam

dotrę, znajdę jakiś sposób, żeby się skontaktować z zespołem archeologów z Aleksandrii. Na pewno się zastanawiają, co się stało z ich stażystką. Poinformuję też o odkryciu moją uczelnię i profesora archeologii. Na pewno będą wiedzieli, z jakimi instytucjami ds. starożytności muszę się skontaktować, aby zbadać to zabytkowe miejsce i zapewnić mu ochronę. I poproszę Johna, żeby po mnie przyjechał swoją starą Simcą. Może poczciwi mnisi dadzą mi coś do jedzenia!

Rozpoczynam powolną wspinaczkę w kierunku grzbietu zbocza, gdy nagle górską ciszę, dotychczas urozmaicaną jedynie brzęczeniem owadów, przerywa rżenie. Zatrzymuję się i rozglądam dookoła w poszukiwaniu białego kształtu, ale nic nie widzę zza gęstych akacji i skał. Znowu zaczynam nucić kołysankę, by przywołać klacz, i wkrótce po raz kolejny słyszę rżenie. Kieruję się w stronę źródła dźwięku i bardzo uważnie stawiam kroki, by nie poruszyć zbyt gwałtownie kamieni ani roślin pod stopami. Moja cierpliwość zostaje wynagrodzona i znajduję klacz na polanie, schowaną do połowy za głazem. Moja księżniczka Amira sprawia wrażenie, jakby na mnie czekała, jakby wiedziała, że przyjdę. Lekko drżąc, robi kilka kroków w bok, i dostrzegam, że utyka na tylną lewą nogę. Nie ruszam się, by nabrała śmiałości. Klacz waha się, obraca i odchodzi na kilka kroków, lecz melodia kołysanki zachęca ją, by się powoli do mnie zbliżyć. Zamykam oczy. Jest teraz bardzo blisko. Jej oddech łaskocze mnie w wyciągniętą, rozpostartą dłoń. Wąsy na końcu jej nosa muskają moją skórę, gdy mnie obwąchuje. Odsuwa się, a potem znowu przybliża. Auć! Teraz żuje moje włosy, do reszty niszcząc mój kok. Czuję jej oddech na szyi, lecz staram się nie ruszać. Hm, chyba zlizuje resztki słodkiego syropu, który mam na koszuli. Robię, co mogę, by się nie poruszyć mimo łaskotania. Stopniowo otwieram oczy i napotykam jej zaciekawiony, przenikliwy wzrok. Powoli zbliżam dłoń do jej karku i delikatnie głaszczę. Klacz drży, ale nie ucieka. Ośmielam się pogłaskać ją po policzku, czole i czubku nosa. Delikatnie ugina kark i nagle popycha mnie lekko łbem w zaniepokojeniu. Potem robi krok w tył i obserwuje mnie kątem oka, z łbem wyciągniętym w stronę nieba.

– Nic ci nie zrobię, Amiro, księżycowa królowo. Chodź tutaj – przemawiam do niej znowu z wyciągniętą ręką.

Zaczynam nucić kołysankę i po chwili klacz potrząsa łbem, podchodzi do mnie i pozwala się pogłaskać.

– Właśnie tak, dobry koń – mówię do niej, wciąż głaszcząc ją po karku.

Powoli przesuwam palce po jej grzbiecie i bokach. Trzymając jedną rękę na zadzie, drugą przesuwam po tylnej lewej nodze – kopyto ledwo sięga podłoża. Nie wyczuwam żadnej rany ani opuchlizny. Gdy dotykam pęciny, klacz ugina nogę i odsuwa się ode mnie, znów wzmagając czujność. Zaczynam ją ponownie zachęcać, by podeszła. W końcu wraca do mnie i długo się niej przymilam, by ugięła kolano i pozwoliła mi podnieść kopyto, trzymając za pęcinę. Po kilku próbach już nie protestuje, gdy trzymam w dłoni pęcinę. Wydaje mi się, że nie była nigdy podkuwana. W podeszwie, w środku strzałki, wbity jest ostry kamień. Delikatnie go wyciągam. Zaskoczona klacz delikatnie kopie, zmuszając mnie, bym puściła jej kopyto. Na chwilę się oddala i galopuje w kółko, a potem zwalnia do klusu, wyraźnie zaskoczona, że znów może chodzić bez utykania. Wraca do mnie i czuję na szyi jej oddech, gdy głaszczę ją po grzbiecie, zadowolona, że

mogłam pomóc. Następnie znów się oddala i drepcze w kierunku drzew. Potem odwraca się do mnie, jakby chciała mnie zachęcić, żebym za nią poszła. Idzie przodem, co jakiś czas zatrzymując się, bym mogła ją dogonić, aż w końcu opuszczamy obszar drzew i skał, który zdaje się być jej terytorium. Amira ustawia się za mną, popychając mnie w plecy, by dać mi do zrozumienia, że mam iść naprzód. Po przedarciu się przez gałęzie tamaryszku docieram na skraj kamienisto-piaszczystej pustyni. Zachęcam klacz, by towarzyszyła mi w dalszej wędrówce drogą, lecz ona potrząsa łbem i wycofuje się. Nagle staje przede mną dęba, jakby chciała się pożegnać, i ucieka z powrotem na swoje terytorium. Z ciężkim sercem obserwuję, jak znika w oddali. Wzdycham głęboko i zastanawiam się, po co zaprowadziła mnie aż tak daleko, tylko po to, żeby mnie potem zostawić. Odwracam się, by ogarnąć wzrokiem krajobraz i wydaję z siebie okrzyk zaskoczenia na widok śladów ludzkich zabudowań daleko na pustyni. To musi być dolina z klasztorami!

Przypominam sobie, co mąż ciotki Wadihy, wujek Maroun, mówił na temat koptyjskich klasztorów w tej dolinie. W trzecim i czwartym wieku naszej ery tysiące chrześcijan uciekających przed prześladowaniami ze strony Rzymian poszukiwały schronienia w Wadi el Natrun, w tym również uciekający przed żołnierzami króla Heroda Maryja, Józef i mały Jezus, którzy następnie kontynuowali podróż do Kairu. W tej dolinie narodził się chrześcijański monastycyzm, a uciekinierzy zdołali przetrwać, chowając się w licznych pustynnych jaskiniach i korzystając z ubogich zasobów kilku sąsiednich oaz. Później zbudowali klasztory, w których praktykowali swoją wiarę w tajemnicy. Budynki jakoś przetrwały wiele stuleci ciągłych najazdów i wielką epidemię dżumy w XIV wieku. Do dziś funkcjonują już tylko cztery klasztory, w który mieszka prawie 200 mnichów, medytujących i modlących się na pustyni wzorem starotestamentowych pustelników... Od wschodu na zachód mamy klasztor św. Makarego (Abu Maqar), klasztor św. Pshoi, klasztor Syryjczyków (Deir el-Suryan) i klasztor Rzymian (Deir al-Baramus). Poszczególne budynki są od siebie oddalone o kilka kilometrów, lecz każdy z nich jest samowystarczalny i ukryty za murami warownymi, które miały chronić przed atakami Beduinów w średniowieczu.

Wędruję przez ochrowy piasek i kamienie w kierunku najbliższego klasztoru. Docieram do niewielkiej wioski, w oddali dostrzegam ogrody i budynki z glinianych cegieł. Następnie idę wąskimi uliczkami do bramy klasztoru, w którym panuje niezmacona cisza. Przed wejściem na opuszczony dziedziniec z rzędem palm przez chwilę się waham. Czemu nie widać tu żadnego znaku życia? Chwileczkę. O ile dobrze pamiętam, gdy mnisi nie uczestniczą w obrzędach religijnych, zajmują się pracą: wyplatają maty i kosze, wyciskają oliwę z oliwek, uprawiają ogródki warzywne i wykonują inne zadania? Może wszyscy są teraz zajęci modlitwą i zjawiałam się o nieodpowiedniej porze. Ale muszę znaleźć kogoś, kto mi pomoże!

Idę dalej dziedzińcem. Widzę pięć kapliczek. Jedna z nich zwraca moją szczególną uwagę i zmierzam w jej stronę. Piękno tej prostej architektury robi na mnie ogromne wrażenie: stonowane łuki i okrągłe kopuły średniej wielkości w kolorze pustynnego piasku. Przechodzę przez otwarte drewniane drzwi do ciemnego pomieszczenia,

rozświetlanego gdzieś promieniami słońca przebijającymi się przez małe otwory w ścianach i kopułach. Podziwiam okrągłe ściany i sufity przyozdobione religijnymi freskami. Mimo że nie jestem religijna, mistyczna atmosfera tego miejsca robi przytłaczające wrażenie...

Z boku wejścia stoi para zakurzonych męskich sandałów. W poszanowaniu lokalnego zwyczaju zdejmuję buty i wolnym krokiem zmierzam na tyły kościoła, w stronę chóru. Wtedy dostrzegam czarną postać leżącą u stóp dużego kamiennego ołtarza. To zapewne mnich, do którego należą sandały. Na wzór pierwszych chrześcijan leży rozpostarty na zimnej posadzce. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że ta pozycja modlitewna bardzo przypomina muzułmańską. Nie śmiem mu przeszkadzać, więc stoję kilka metrów za nim i czekam, aż wstanie. W tym momencie mój pusty żołądek postanawia wydać okropny odgłos burczenia, przerywając ciszę panującą w kościele i zaskakując biednego mnicha. Tak bardzo mi wstyd, że nie wiem, co zrobić!

– Prze... Przepraszam, Abouna, nie chciałam przeszkadzać...

Mnich rozciąga się, wstaje i żegna się przez ogromnym koptyjskim krzyżem i ikonami na ołtarzu, a potem powoli odwraca się do mnie. W tych ciemnościach na tle długiego, czarnego habitu i gęstej, czarny brody wyróżniają się jedynie jego zielone, błyszczące oczy pod krzaczastymi brwiami.

– Odwiedzanie klasztoru św. Pshoï jest zakazane w okresie Wielkiego Postu. Nie widziałaś znaku przy wejściu?

Czuję się jak wyrwana do odpowiedzi na lekcji, do której się nie przygotowałam... Staram się powstrzymać falę łez i mamrocze niezdecydowanie:

– Ja... ja tylko...

Mnich kręci głową i udaje się do wyjścia.

– Odprowadzę cię. Musisz poczekać do zakończenia Wielkiego Postu, zanim będziesz mogła tu wrócić.

– Ale ojciec, Abouna, miałam wypadek na skuterze, przeszłam wiele kilometrów, nie spałam, odkryłam bardzo starą jaskinię pełną malowideł egipskich bogów i hieroglifów; są tam też stare manuskrypty i muszę powiadomić o tym mój uniwersytet, a w ogóle to zepsuł mi się telefon!

Słyszając te słowa, mnich przystanął, odwrócił się i przeszył mnie spojrzeniem swoich dziwnych zielonych oczu ze złotymi plamkami.

– Nikomu o tym nie mówiłaś?

Kręcę przecząco głową, znowu burczy mi w brzuchu, a nogi prawie się przede mną uginają. Mnich podchodzi i z wyraźną niechęcią podtrzymuje mnie za łokieć, by pomóc mi w chodzeniu.

– Jestem brat Zachariasz. Zabiorę cię do refektarza, gdzie będziesz mogła coś zjeść. Nie mamy tutaj telefonów. O tym, co odkryłaś, opowiesz tylko mnie i nikomu więcej.

Nie mam siły myśleć, więc pozwalam się prowadzić mnichowi. Jestem też zbyt słaba, by odgonić obraz groźnych oczu kobry, które widzę u brata Zachariasza...

W odpowiedzi na moje zdziwienie tym, że po drodze do sali jadalnej nie spotkaliśmy żadnego mnicha, otrzymuję wyjaśnienie wygłoszone mentorskim i niemal pogardliwym tonem.

– Moi bracia znajdują się w swoich celach. Wielki Post to długi okres umartwiania się i modlitwy, a jego zwieńczeniem jest Wielkanoc, kiedy to świętujemy radosne zmartwychwstanie... W czasie tych czterdziestu dni pościmy, co pomaga nam się oczyścić, sprawia, że nasze brzemię jest lżejsze, a także pozwala skupić się na tym, co najważniejsze.

Mam nadzieję, że nie da mi odczuć niestosowności sytuacji, gdy będę się przy nim objadać! Na szczęście zostawia mnie samą przy stole z talerzem, szklanką i dzbankiem wody, pod sklepiennym dachem surowego, klasztornego refektarza. Rzucam się na pajdę chleba, kozi ser i daktyle, którymi hojnie poczęstował mnie brat Zachariasz. Och, jak mi teraz dobrze. A teraz powinnam się chyba zdrzemnąć. Lecz gdy mnich wraca z dużą torbą z koziej skóry i laską pod pachą, orientuję się, że sen trzeba będzie odłożyć na później...

Nie wiem, czy to przez magnetyczne spojrzenie brata Zachariasza, jego bezpośredni i władczy charakter czy przez moją wdzięczność za posiłek, ale nie zgłaszam sprzeciwu. Nie mam najmniejszej ochoty iść z powrotem do jaskini, którą odkryłam, ale czuję, że nie mam wyboru. Pocieszam się myślą, że im szybciej będzie po wszystkim, tym szybciej będę mogła opuścić to miejsce...

Wędrówka wydaje się nie mieć końca i z każdą chwilą narasta u mnie obawa, że zaraz się zgubię... Z tyłu głowy czuję palące spojrzenie tajemniczych oczu brata Zachariasza i próbuję się jakoś pozbyć uczucia niepokoju, które ono we mnie wywołuje. Wydaje mi się, że dotarliśmy do wyschniętego koryta rzeki i wchodzę tam, torując sobie drogę przez gałęzie i krzewy. Potykam się jednak, tracę równowagę i ląduję na tyłku w zaroślach. Nagle, niczym zjawą, staje przede mną księżycowa księżniczka. Zalewa mnie fala radości; mogłabym tu tak całymi godzinami siedzieć i patrzeć na to piękne stworzenie. Jednak ręka mnicha łapie mnie mocno i jestem zmuszona wstać. Klacz kładzie uszy płasko po sobie i gwałtownie rusza w kierunku mnicha, jakby w mojej obronie. Brat Zachariasz unosi laskę i uderza nią po gałęziach dzielących go od klaczy, wykrzykując:

– Odejdź! Wynocha stąd!

Ponieważ Amira nie wydaje się zbyt chętna do spełnienia polecenia, mnich schyla się po kamień i z całej siły rzuca nim w klacz, która ucieka, rżąc z bólu. Jestem wściekła i szybko wstaję, by mu się przeciwstawić.

– Ejże! Proszę ją zostawić w spokoju, nie zrobiła nic złego! Chce ją pan ukamienować jak jakiś barbarzyńca?

Nienawiść widoczna w oczach mnicha mrozi krew w moich żyłach. Jednak w ułamku sekundy udaje mu się zapanować nad wyrazem twarzy, która teraz jest poważna.

– Ten dziki koń niszczy plony, na które tak ciężko pracujemy. Moim obowiązkiem jest go odpędzić. Chodź, idziemy dalej.

Przełykam złość i ruszam pospiesznie korytem rzeki. Docieramy do wejścia jaskini z malowidłami. Brat Zachariasz kładzie torbę na ziemi i wyjmuje z niej dużą latarkę. Przed ponownym zamknięciem torby udaje mi się dostrzec coś, co przypomina duże walkie-talkie. Oniemiałam z wrażenia. Czy to jest telefon satelitalny? O ile mi się coś nie przywidziało, mógł pozwolić mi z niego skorzystać chociażby w celu powiadomienia rodziny o tym, co się stało! Moi rodzice co prawda świętują teraz dwudziestą rocznicę ślubu na Hawajach i mieliby drobny kłopot z odebraniem mnie stąd, ale on przecież o tym nie wie. Tak się po prostu nie robi, nie mogę w to uwierzyć! Nie zdążyłam jednak nic powiedzieć, bo już wszedł do jaskini...

Podążam więc za nim i znów muszę się czułgać, lecz tym razem jest dużo łatwiej, bo brat Zachariasz oświetla drogę mocnym strumieniem światła z latarki. Docieramy do wykutych w skale schodów. Mnich wyjmuje z torby lateksowe rękawiczki i każe mi poczekać w tym miejscu, a sam idzie obejrzyć jaskinię. Jestem rozczarowana, że nie mogę jeszcze raz zobaczyć malowideł, ale to nie ja tu wydaję rozkazy. Podczas gdy mnich jest zajęty badaniem jaskini, szczegółowo opisaną przeze mnie w trakcie wędrówki, ja przyglądam się wizerunkowi kobry na skale i przeżywam rozgoryczenie. Czas płynie niemiłosiernie wolno... Z ciekawości przesuwam palcami po łuskach węża. Malowidło jest dosyć popękane i pozostawia na moich palcach delikatny ślad pigmentu. Skupiam się na szczegółach dzieła; każda łuska została namalowana z wyjątkową dokładnością. Postać węża została pieczołowicie wyrzeźbiona, a naturalny kształt skały podkreśla trójwymiarowy efekt. Prądkowane, nabrzmiałe gardło. Doskonale odwzorowane kły. Moje palce przesuwają się w kierunku oka, które tak bardzo przypomina mi oko mnicha. Pod źrenicą kobry wyczuwam inny materiał. Pocieram malowidło trochę mocniej i farba schodzi, a pod spodem widać coś w rodzaju twardej powłoki. Cała się trzęsę, gdy zdrapuję paznokciem resztę farby i odsłaniam trójkąt z brązu o nieregularnej podstawie, który sprawia wrażenie ułamanego. Wyciągam go paznokciami i szybko wsuwam do kieszeni dzinsów, gdyż u szczytu schodów pojawia się światło latarki. Brat Zachariasz schodzi po stopniach wyraźnie strapiony, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem.

– Najlepiej ukryte są te tajemnice, które mamy tuż przed oczami... Co to może znaczyć? Czy w tych dokumentach znajdę odpowiedź?

Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, wsuwa do torby aparat fotograficzny i lateksowe rękawiczki... Zmierza do wyjścia, sprawiając wrażenie, jakby to, co zobaczył, nie dawało mu spokoju. Nie mam innego wyboru, jak tylko iść za nim.

Bez słowa prowadzi mnie z powrotem przez góry do brukowanej drogi. Wkrótce potem zatrzymuje gestem dłoni wózek ciągnięty przez osła. Kierowca zatrzymuje się i całuje dłoń mnicha, który w zamian go błogosławi i prosi o podrzucenie mnie do pustynnej

autostrady, skąd będę mogła dojechać autostopem do Aleksandrii.

– Bi amrak, Abouna, do usług, ojciec.

Brat Zachariasz ściska mi ramię z siłą Herkulesa, a spojrzenie jego wężowych oczu krzyżuje się z moim.

– Ta jaskinia znajduje się na terytorium mnichów. Zanim komukolwiek o niej powiesz, chcielibyśmy się najpierw pomodlić i zbadać to miejsce powtórnie. Daj mi swoje dane kontaktowe, bym mógł cię powiadomić, gdy nadejdzie czas na ujawnienie tego odkrycia w świecie nauki. Zapewniam, że ziemską chwałę cię nie ominie. Ale do tego czasu...

W znanym powiedzeniu jest wiele prawdy. Pozory mylą. Mnich ściska moje ramię jeszcze mocniej, by podkreślić groźbę, ale dobrotliwy uśmiech i krzyż wiszący na jego szyi sprawiają, że miły kierowca w ogóle tego nie zauważa i wykrzywia swoje bezzębne usta w uśmiechu zadowolenia. Przełykam ślinę i pośpiesznie wsiadam na tył wózka załadowanego świeżo zestrzyżoną owczą wełną i ociekającego lanoliną. Naciągam kołnierzyk bluzki na nos, nadaremno próbując zablokować okropny zapach unoszący się z nad wełny, odór potu zestresowanego zwierzęcia. Wózek trzęsie się na drodze, a ja zwijam się w kłębek i płaczę ze zmęczenia i frustracji. Straciłam telefon i skuter, jakiś psychopatyczny mnich zawłaszczył moje odkrycie i już nigdy nie zobaczę Amiry, księżycowej księżniczki...

Pomimo smrodu zasnąłam w miękkiej wełnie. Kierowca wózka z szerokim uśmiechem klepie mnie po głowie, by mnie obudzić. Pokazuje mi kozi szlak pod pustynną autostradą. Serdecznie mu dziękuję i rozpoczynam wędrówkę, walcząc z bólem mięśni. Wcale nie mam ochoty dołączyć do zespołu prowadzącego wykopaliska w Aleksandrii. Chcę jedynie się wykąpać, zmyć nieprzyjemny zapach, którym przesiąkły moje włosy i ubrania, a potem napchać się słodyczami.

Pytam pierwszego kierowcę, który zatrzymał się na skraju autostrady, czy mogę skorzystać z jego telefonu komórkowego, i dzwonię do Johna z prośbą o ratunek. Są takie chwile w życiu, kiedy trzeba złamać swoje zasady, i tym razem jestem skłonna przyjąć wsparcie księcia z bajki...

John nawet nie mrugnął okiem, gdy wsiadałam do jego Simki 1000 na poboczu autostrady, gdzie na niego czekałam. Ale ja na widok swojego odbicia w bocznym lusterku pasażera prawie zemdlalam. Wyglądam jak świeżo ekshumowane zwłoki, z dżunglą czarnych włosów wymieszanych z owczą wełną. W takim stanie przestraszyłabym nawet najbardziej przerażającą mumię! Próbując odegnać od siebie ten straszny obraz, zaczynam gorączkowo opowiadać o moich przygodach. Ale John mi przerywa, sugerując, że bym wyjaśniła wszystko później, jak już się uspokoję. Informuje mnie, że oczywiście powiadomił archeologów w Aleksandrii o powodach mojej nieobecności, zanim pożyczył sprzęt wspinaczkowy od innego studenta. Chce pozbiierać to, co zostało z mojego skutera, i spróbować go naprawić.

– Okropnie się czuję z powodu twojego wypadku, Leylo. Nie powinienem był ci proponować, że naprawię skuter...

Mimo kilkakrotnego powtórzenia, że to moja wina i nigdy nie powinnam była zjeżdżać z autostrady, John upiera się, że to on odpowiada za mój wypadek. Widząc, że się zafiksował na tym punkcie, poddaję się i próbuję go pokierować w miejsce upadku skutera najlepiej, jak potrafię. Parkujemy na poboczu wąskiej drogi. John dostrzega skuter daleko w dole i kręci głową.

– Mogłaś umrzeć i to byłaby wyłącznie moja wina!

– Yyy... Przecież żyję i mam się dobrze. Mam zejść z tobą na dół po skuter?

– Nie pozwolę ci ponownie narażać się na niebezpieczeństwo!

Dobra! Niech harcerzyk zajmie się tym sam. Obserwuję, jak wyciąga sprzęt, mocuje go dokładnie i zaczyna schodzić w dół zbocza. Najpierw podnosi mój kask i wszystkie rzeczy pozostawione na skalnym występie, który wyhamował mój upadek. Następnie schodzi na sam dół wąwozu, gdzie leży mój zepsuty skuter. Przywiązuje go do liny, zapiera się mocno stopami na ziemi i umięśnionymi rękami podnosi skuter w górę zbocza. Imponujące... Teraz muszę tylko go złapać, przeciągnąć na skraj drogi, a potem poczekać, aż wróci mój ratownik i pomoże mi załadować tę kupę złomu na Simkę.

W trakcie pracy przypadkowo ocieramy się o siebie parę razy i wpadam przy tym w dziwne zakłopotanie. Po plecach przebiega mi dreszcz i wdycham zapach jego wody kolońskiej. Pachnie bosko. Obserwuję go ukradkiem, jest taki poważny, oddany i... nagle bardzo atrakcyjny, z tymi zmierzwionymi włosami i skórą ubrudzoną smarem. Gdy wstaje, odgarniając tyłem dłoni pukiel włosów z twarzy, i patrzy na mnie swoimi błękitnymi jak Morza Południowe oczami, nabieram ochoty, by tu zostać, wtulić się w jego ramiona i...

Tymczasem on przechodzi na stronę pasażera i jak prawdziwy dżentelmen otwiera mi

drzwi do samochodu. Dobra, starczy już tego fantazjowania! Wskakuję do samochodu i rozpoczynamy podróż do Kairu. Otwieram dyskretnie okno, żebyśmy się nie zadusili moim smrodem, i udaję, że śpię, by nie dać po sobie poznać, jakie emocje wzbudza we mnie John. Ale chyba zasnęłam naprawdę, bo gdy otwierałam oczy ponownie, Simca właśnie zatrzymywała się w zaułku bocznej uliczki w Kairze.

John zostawił mnie, bym się obudziła, i zniknął w drzwiach budynku. Wrócił po kilkunastu minutach z serdecznym uśmiechem na twarzy.

– Przygotowałem dla ciebie kąpiel, parę ręczników i ubrania na zmianę. Swoje... brudne ubrania możesz włożyć do reklamówki. W międzyczasie zawiozę twój skuter do warsztatu w pobliżu. To ten pierwszy z prawej. Łazienka jest na lewo. Czuj się jak u siebie w domu. Nie będę ci przeszkadzać.

Wiem już, co usłyszę od ciotki Wadihy, gdy opowiem jej całą tę historię:

– Widzisz, mówiłam ci, możesz być młodą, silną i niezależną kobietą, ale czasem jest dobrze mieć partnera, na którym można polegać. Jestem pewna, że to dobry chłopak. Zaproś go do nas na kolację!

Ale chyba jednak nie pozwolę, by trafił do niej na przesłuchanie. Przynajmniej nie teraz... Dziękuję mu i wbiegam po schodach prowadzących do jego mieszkania, by jak najszybciej doprowadzić się do ładu. Zatrząskuję za sobą drzwi wejściowe i znajduję się teraz w przyjemnym salonie z wygodną kanapą, orientalnym stolikiem kawowym i półkami uginającymi się od powieści i książek archeologicznych. Biurko przy oknie zapewne służy mu do pracy. Są na nim kolejne książki, nowoczesny komputer, drukarka ze skanerem i zestaw narzędzi do prowadzenia badań archeologicznych: pędzle, miniaturowe kilofy, instrumenty do mierzenia, mikroskop, notatniki oraz szereg pudełek, sitek, próbek, szkiełek, szczypców i tym podobnych. Widać, że bardzo go pasjonuje ta praca i to też jest dla mnie ekscytujące. No dobrze, nie zacznę teraz przeglądać jego rzeczy, to byłoby naprawdę niegrzeczne. Otwieram drzwi w przekonaniu, że prowadzą do łazienki, ale okazuje się, że to drzwi sypialni. Szybko je zamykam z wielkim zażenowaniem i otwieram kolejne, które rzeczywiście prowadzą do łazienki. Odkręcam kran i spoglądam na ręczniki leżące na taborecie oraz na ubrania na zmianę. Uff, duża koszulka i długie spodenki do biegania. Co? Przez chwilę bałam się, że znajdę ubrania należące do jego dziewczyny, ale jedno spojrzenie na umywalkę wystarczyło, by rozwiać wątpliwości: jest tam tylko jedna golarka elektryczna i jedna szczoteczka do zębów. Śmieję się i odganiając od siebie te bezsensowne podejrzenia, zdejmuję ubrania i z rozkoszą wskakuję do wanny wypełnionej odświeżającą, ciepłą wodą...

Siedząc po turecku na kanapie, z apetytem zajadam się meze, które John kupił na kolację z nieskrywaną przyjemnością. Jego troskliwość przekracza wszelkie granice. On także wykąpał się i przebrał i teraz siedzimy razem wygodnie w jego salonie. Skubiąc przepyszne naleśniczki z serem i puszyste pierożki z warzywami i mięsem, gawędzimy o moich niefortunnych przygodach, o życiu i naszych zainteresowaniach i takie wzajemne poznawanie się poza murami uniwersytetu jest naprawdę bardzo przyjemne. Gdy opowiadam mu o Amirze, okazuje się, że on też kocha konie.

– Miło poznać taką księżniczkę – stwierdza z rozmarzeniem.

– Dziękuję za komplement! – odpowiadam ironicznie. – Ale ja pochodzę z ludu!

– Miałem na myśli klacz! Yy... Ale ty też nie jesteś zła – dodaje szybko. – Zaufał ci dziki koń arabski czystej krwi. To jest bardzo nietypowe, przecież one są takie dumne i trudne do oswojenia. Znasz tę legendę opowiadaną przez egipskich jeźdźców? Allah stworzył konia z podmuchu wiatru. Podarował tego syna wiatru człowiekowi ze słowami: „Ruszaj, na jego grzbiecie zasmakujesz przyjemności czekających na ciebie w raj”.
– Amira jest córką wiatru i księżniczką księżyca... Chciałabym ją jeszcze kiedyś spotkać!

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, zatopieni w bajkowej atmosferze. Chcę go zaprosić na weekend do moich rodziców. Mogłabym mu pokazać oazę, którą mój ojciec przekształcił w rezerwat dla ptaków i po której można się poruszać wyłącznie pieszo, łodzią lub konno. Nie mogę jednak się przełamać, być może z powodu świadomości, że w obecności Johna rodzice będą się do mnie zwracać, używając różnych idiotycznych ptasich zdrobnień w stylu „mój kurczaczku” albo „moja kaczuszko”! Cisza unosi się w powietrzu nad nami niczym stado gołębi, aż w końcu John przerywa ją, uderzając się w czoło. Podchodzi do biurka i otwiera szufladę. Wyciąga z niej telefon komórkowy i wręcza mi go.

– To moja stara komórka. Nie jest mi już potrzebna. Może by ci się przydała... Mówiłaś, że udało ci się wyjąć kartę SIM po wypadku?

– Powinna być w moich dzinsach. Pójdę po nią. To bardzo miło z twojej strony.

Po powrocie z łazienki musiałam mieć chyba bardzo dziwny wyraz twarzy, ponieważ John spojrzał na mnie z zaniepokojeniem.

– Co się stało, nie mogłaś jej znaleźć?

– Znalazłam kartę, a oprócz tego jeszcze coś, o czym już prawie zapomniałam – wręczam mu metalowy trójkąt, który wyjęłam z oka kobry i wsunęłam do kieszeni spodni. – Jak myślisz, co to jest?

John wyciera ręce, wstaje i podchodzi do mnie. Łapie trójkąt opuszkami palców, ogląda

go w świetle lampy i unosi brew ze zdziwieniem.

– Zauważyłaś wygrawerowane na nim znaki?

W jednej chwili zapominamy o naszej kolacji i skupiamy uwagę na tajemniczym trójkącie. John robi trochę miejsca na swoim biurku i kładzie trójkąt na podświetlonej tacy pokrytej plastikowym arkuszem. Odsuwa dla mnie drugie krzesło i wręcza pędzel. Biorę trójkąt i oczyszczam go z pozostałości kolorowych pigmentów, drobinek pyłu i fragmentów skały. Trzymając przedmiot szczypcami, obracam go i czyszczę z drugiej strony. John zbiera pozostałości, tworząc lejek z plastikowego arkusza, i wsypuje je do próbki.

– Możemy je przeanalizować w laboratorium na uniwersytecie.

Następnie umieszcza trójkąt na tacy obok linijki i przy pomocy swojego nowoczesnego telefonu robi zdjęcie przedmiotu z przodu i z tyłu. Przesyła fotografie na dysk komputera, a potem siada i przez chwilę wpatruje się desperacko w ekran. Wreszcie stwierdza:

– Złamane... przykro mi.

– Słucham?

– To jest fragment jakiejś większej całości. Gdybym miał całość, może udałoby mi się rozszyfrować te wygrawerowane symbole. Pomijając otaczające je geometryczne kształty, te symbole to greckie litery, ale w takim układzie nie znaczą nic konkretnego.

Wiedziałam, że trzeba było wybrać naukę starożytnej greki zamiast hieroglifów! Ale skoro przynajmniej jedno z nas ją zna... Myślę intensywnie.

– Wybacz moje zafiksowanie na punkcie faraonów, ale czy ten trójkąt mógłby być szczytem piramidy?

John stuka w klawiaturę jak prawdziwy wirtuoz i wykonuje gwałtowne ruchy myszką. Wyświetla różne zdjęcia piramid w Gizie i umieszcza obraz trójkąta na ich szczytach.

– Nie, bo jak widać kąt wierzchołka trójkąta wynosi dokładnie 36° . Jest znacznie węższy niż piramidy i... 36° ??? To nie może być przypadek. Chyba że jestem w dużym błędzie...

Nie nadążam za nim... Kilkoma kliknięciami myszki John pobiera wymiary trójkąta i umieszcza go na szczycie pięcioramiennej gwiazdy. Albo on jest magikiem, albo ja jestem naprawdę kiepska z geometrii. Widząc moją zdeorientowaną minę, pyta:

– 36° , pentagram, Pitagoras, złoty podział. Nic ci to nie mówi?

– Niestety, matematyka to nie był mój ulubiony przedmiot. Rozumiem tylko, że ten trójkąt jest częścią jakiejś większej całości, prawdopodobnie pięcioramiennej gwiazdy, i że wygrawerowano na nim niezrozumiałe symbole. Mamy tylko jeden fragment gwiazdy i nie sądzę, by pozostałe były ukryte pod wizerunkiem węża w jaskini. Poczulabym je pod palcami. Zatem inne fragmenty znajdują się gdzieś indziej, ale dopóki nie ułożymy całej układanki, nie uda nam się z tego nic odczytać i nasz trójkąt

będzie równie bezużyteczny co skarpetka bez pary! O wielki znawco, czy wiesz, gdzie mogą być pozostałe części gwiazdy?

– Nie – odparł geniusz. – Ale spróbuję się dowiedzieć. Niczego nie obiecuję.

John skupia się na pracy z komputerem, a ja w tym czasie spaceruję po salonie, przesuwając ręką po krawędziach niezliczonych książek stojących na półkach i wdychając przyjemny, słodki zapach starego papieru. Perfumy, papier, pergamin, papirus... Gdzieś w podświadomości zaczynam łączyć te skojarzenia ze zwojami znalezionymi w ukrytej wnęce w jaskini, a które zabrał brat Zachariasz. Żałuję, że nie zatrzymałam ich dla siebie! John zna starożytną grekę, więc mógłby odczytać ich treść i może bylibyśmy w stanie jakoś to wszystko zrozumieć! Zalewa mnie fala frustracji i myślę sobie, by chętnie użyłabym wosku z salonu ciotki do wyrwania z ciała mnicha wszystkich włosów. Ta wizja sprawia, że nagle wybucham śmiechem i John przerywa pracę, by zobaczyć, co mnie tak rozbawiło. Gdy kończę wyjaśniać, na jego twarzy maluje się przerażenie.

– Tortury w karmelu... Nigdy w życiu nie słyszałem o czymś równie sadyistycznym! Obiecuj mi, że jak się na mnie kiedyś zezłóscisz, to nie zostanę wywoskowany!

Oczywiście, że nie. I nie wyobrażam sobie, żeby John mógł mnie czymś zdenerwować. Jednak myśl o tym, że leży przede mną prawie nagi i całkowicie zdany na moją łaskę, nagle wywołuje u mnie uczucie przyjemnego mrowienia na całym ciele. Szybko odgąm od siebie te fantazje, które są równie niestosowne co dekoncentrujące, i próbuję skupić uwagę na tym, co ważne, czyli na zwojach. Gdyby tylko dało się jakoś je ukraść i uniknąć przyłapania przez brata Zachariasza!

– Leylo, chodź tu szybko!

Hę? Gdy John wyszukiwał informacje, ja ucięłam sobie drzemkę na kanapie i dojsie do siebie zajmuje mi dobrą chwilę. Wstaję i siadam obok niego. Wygląda, jakby był w transie.

– *Porozsyłałam zdjęcie trójkąta do doktorantów z całego świata zajmujących się archeologią Grecji. Ktoś właśnie próbuje się ze mną pilnie skontaktować przez Skype.*

Zanim zdążyłam się przysiąść do Johna, na ekranie komputera wyświetliła się już twarz młodego bruneta.

– *Wysłuchajcie mnie proszę uważnie, nie mamy wiele czasu. Nazywam się Battushig i mam dla was bardzo ważne informacje. W rejonie gór Altaj w Mongolii wpadłem w lodową szczelinę i odkryłem tam konia zamrożonego w lodzie oraz metalowy cylinder, który służył mi za czekan. Moi bliscy zdołali mnie uratować dzięki pomocy mojego konia Altaïra.*

Myślę sobie, że to chyba jakiś kiepski żart, ale Battushig ciągnie swoją opowieść zupełnie poważnym tonem.

– *W pobliżu tamtej szczeliny Akademia Nauk w Ułan Bator założyła tymczasowe laboratorium i badacze odkryli, że koń leży tam już od prawie 2400 lat. Potem znaleźli jeźdźca, również zamarzniętego na kość, który nosił identyczną zbroję co konni wojownicy greckiej armii z tamtych czasów. Wtedy jednak firma Hannibal Corp przejęła kontrolę nad całą operacją i samolotami z chłodniami przetransportowała wszystkie znaleziska do centrum kriogenicznego w Massachusetts w Stanach Zjednoczonych. Były student mojego uniwersytetu, który tam pracuje, powiedział mi, że jeździec miał przy sobie weksel i przepustkę wojskową podpisaną przez generała Ptolemeusza w 326 r. p.n.e.*

– *Tego Ptolemeusza, który został później egipskim faraonem? – pytam, nagle zaciekawiona. – Tak w ogóle jestem Leyla, a to jest John.*

– *Właśnie tego, ale to jeszcze nie koniec historii. Spotkałem się z niejakim Johnem Fitzgeraldem Hannibalem i do dziś przechodzą mnie ciarki na samą myśl. Przyleciał swoim prywatnym odrzutowcem do Mongolii po ten cylinder, którego używałem jako czekana, rzekomo po to, żeby go osobiście przekazać do laboratorium w górach Altaj. A tak naprawdę zatrzymał go dla siebie. Ten człowiek ma ogromną władzę i jest bardzo niebezpieczny, mówię wam.*

– *Co takiego ważnego było w tym cylindrze?*

– *Drugi cylinder zrobiony z kości, z wygrawerowaną zaszyfrowaną wiadomością.*

Dzięki wsparciu „sieci” Salonę, moja... przyjaciółka, i profesor Temudjin z mojej uczelni odczytali jej treść. Ale stało się to dopiero po tym, jak Hannibal zabrał cylinder. Podejrzewam, że on też już zna treść wygrawerowanej wiadomości: „Koń Aleksandra, niepokonanym będzie ten, kto jeździ na twym grzbiecie i nosi gwiazdę nieśmiertelnej potęgi”. Na podstawie wszystkich zebranych dotąd informacji sądzimy, że mowa o Aleksandrze Wielkim i jego koniu Bucefale. A także o pięcioramiennej gwiazdzie – pieczęci wszechmocy, dzięki której Aleksander był niewyciężony.

– Pięcioramiennej, metalowej gwiazdzie pokrytej różnymi symbolami? – pyta John.

– Tak jest, szybko łapiecie. Zamarznięty jeździec miał przy sobie grawerowany metalowy trójkąt, fragment pięcioramiennej gwiazdy. Leylo, ten trójkąt, który znalazłaś w jaskini, również jest jej częścią. Spójrzcie na to zdjęcie, które połączyłem ze zdjęciem zrobionym przez Johna: fragmenty idealnie pasują do połamanej gwiazdy. A teraz ten trójkąt ma Hannibal...

– Nie bardzo rozumiem, po co mu te kawałki gwiazdy, Battushig.

– Chce znaleźć brakujące fragmenty pieczęci wszechmocy, które Ptolemeusz powierzył jeźdźcom. Podobno zostały wywiezione „bardzo daleko”. Pierwszą część znaleziono w Mongolii, drugą w Egipcie. Nie wiem, gdzie są pozostałe. Ale jeśli John Fitzgerald Hannibal, korzystając z możliwości swojej sieci wywiadowczej, zasobów finansowych i najnowocześniejszej technologii, znajdzie wszystkie fragmenty, będzie mógł je połączyć z powrotem w całość i zrekonstruować gwiazdę. Wtedy stanie się równie potężny i niezniszczalny co jeden z największych zdobywców i dyktatorów na świecie!

– Tylko jak go przed tym powstrzymać?

– Nie możemy pozwolić, żeby zdobył kolejne fragmenty trójkąta! Poczynając od tego, który macie wy. Czy znacie jakieś bezpieczne miejsce, żeby go prędko schować?

John i ja wymieniamy przerażone spojrzenia. Jeśli Hannibalowi udało się zinfiltrować każdą siatkę władzy i informacji, jak w ogóle możemy uniknąć wpadnięcia w jego pajęczą sieć? W tym momencie z kanapy dobiega dzwonek telefonu, który pożyczył mi John i do którego włożyłam swoją kartę SIM. Biegnę, by odebrać, a John podpowiada, żebym przełączyła telefon na tryb głośnomówiący. Z drugiej strony słychać męski głos, poważny i pewny siebie.

– Witaj, Leylo. Mówi John Fitzgerald Hannibal. Masz przy sobie pewien przedmiot, który wzbudza moje szczególne zainteresowanie jako kolekcjonera. Zapłacę ci za niego milion dolarów.

Jestem kompletnie sparaliżowana i nie mogę wydusić z siebie nawet pół słowa. Jak ten człowiek mnie znalazł? Skąd wie, że mam trójkąt? I proponuje mi za niego milion dolarów!

– Drogie dziecko – ciągnie Hannibal. – To jest oferta nie do odrzucenia. Dokładnie za trzy godziny przekażesz przedmiot bratu Zachariaszowi, który w zamian wręczy ci walizkę z gotówką. W przeciwnym razie...

Rozłączył się.

Na ekranie widać, że Battushig zrobił się bardzo niespokojny. Zaciska pięści.

– Powinienem był to przewidzieć. Na pewno ma swoich supertajnych informatorów rodem z amerykańskiego wywiadu, którzy śledzą całą komunikację dotyczącą Aleksandra Wielkiego. Słuchajcie, ten człowiek jest niebezpieczny. By zdobyć te fragmenty, jest gotów popełnić nawet najgorsze świństwa i nie cofnie się przed niczym. Nie chcę nawet myśleć, co mógłby zrobić wam lub waszym rodzinom, jeśli nie spełnicie tego żądania. Obawiam się, że nie macie innego wyjścia jak tylko wypełnić jego polecenie. Nie ryzykujcie, proszę...

W trakcie podróży wzbiera we mnie wściekłość. Ten cały Hannibal ma ogromną władzę i może z niej bezkarnie korzystać w dowolny sposób. John i Battushig stwierdzili bez najmniejszych wątpliwości, że nikt nie weźmie nas na poważnie, nawet lokalna policja i amerykański ambasador. Nienawidzę dyktatorów. Ale jak wszyscy dyktatorzy, on także musi mieć jakąś słabość, w końcu jest tylko człowiekiem. Po prostu muszę ją znaleźć i wykorzystać przeciwko niemu. Ale póki co, nie mam innego wyboru jak tylko ustąpić. Mam ochotę krzyczeć. John, jak zwykle pragmatyczny, włożył trójkąt do pudełka na próbki i wsunął je do małego plecaka razem z butelką wody i innymi rzeczami. Odkąd wyjechaliśmy z Kairu, jest bardzo ponury i w ogóle się nie odzywa.

Pod okiem Ozyrysa, boga nocy, klasztor św. Pshoi wygląda jak widmo. W zimnym świetle gwiazd na aksamitnym niebie, ciche budynki przybierają popielaty kolor, między szarością a matowym srebrem. Gdy czekamy na jakiś sygnał na ciemnym dziedzińcu klasztoru, niewyraźna sylwetka zniecka wychodzi z cienia niczym duch i staje przed nami. Ledwo powstrzymuję okrzyk, kiedy rozpoznaję w niej brata Zachariasza. Glina zupełnie wyciszyła odgłosy jego kroków.

– Przynieśliście to, o co prosiliśmy?

Lodowaty, groźny ton jego głosu przyprawia mnie o drżenie. John kiwa głową, wskazując na plecak. Brat Zachariasz obrzuca go wzrokiem ostrym jak skalpel, ale John pozostaje niewzruszony i wytrzymuje jego spojrzenie. Mnich skinieniem dłoni daje znać, że mamy iść za nim, i przechodzimy na drugą stronę placu, mijając po drodze kościół pod wezwaniem św. Dziewicy i salę jadalną. Następnie wspinamy się po wąskich schodach w górę, w całkowitej ciemności. Grobowy chłód tego miejsca przyprawia mnie o gęsią skórę na szyi. A może to z powodu strachu. John korzysta z funkcji latarki w swoim telefonie, a chwilę potem brat Zachariasz włącza również swoją. Nagłe zwiększenie ilości światła wcale nie dodaje mi jednak pewności siebie. W ślad za mężczyznami wchodzę do zakurzonego, dusznego korytarza. Po dojściu do drzwi John pyta:

– Proszę pana, to znaczy, ojcze, czy to właśnie w tej jaskini schronił się św. Pshoi?

– Nie – odpowiada brat Zachariasz ze znużeniem. – To tylko piwniczki, w których trzymamy oliwę.

– Ale czy to nie w tych jaskiniach w XIX wieku odkryto manuskrypty przywiezione przez mnichów uciekających przed prześladowaniami z Syrii i Bagdadu w VIII wieku? Chodzi mi o to, czy te zwoje, które Leyla znalazła w jaskini z malowidłami, a które już na pewno ojciec zbadał, pochodzą z tego samego okresu?

Zaskoczony nagłym potokiem pytań, brat Zachariasz zatrzymuje się na chwilę i dokładnie przygląda się Johnowi swoimi zielono-złotymi ślepiami. Potem odpowiada:

– Pochodzą z końca trzeciego wieku przed Chrystusem. Dlaczego tak nagle cię to zainteresowało?

– Jaki jest związek między tymi zwojami a metalowym trójkątem, którym pan John Fitzgerald Hannibal jest tak bardzo zainteresowany?

Twarz mnicha pociemniała. Przemawiając do nas, wygląda, jakby kierował swoje słowa do jakiejś niewidzialnej istoty za nami.

– Było tam napisane: „Najlepiej ukryte są te tajemnice, które mamy tuż przed oczami...”

Nagle mnich wybucha niemal demonicznym śmiechem, którego echo odbija się od ścian korytarza.

– Lecz Panie, uznałeś mnie za niegodnego zrozumienia Twojej wiadomości... Światło słońca! Ta głupia suka...

Nienawiść brata Zachariasza oblewa mnie niczym gorąca lawa. Rany, jestem tak przerażona wściekłością i frustracją bijącą od tego człowieka, znacznie groźniejszego niż kobra, że zaczynam potrząsać ramieniem Johna, jękając się:

– D... Daj mu ten trójkąt, John, szybko!

– Nie, nie! Skoro pan Hannibal obiecał ci za niego milion dolarów, to wymianę musimy przeprowadzić tak jak trzeba! Za mną!

Nerwowym krokiem zmierza w dół korytarza i zatrzymuje się przed drewnianymi drzwiami zamkniętymi na duży klucz. Otwiera je z wściekłością.

– Chcecie zobaczyć jaskinię, w której schronił się św. Pshoi? Nalegam. Wycieczka jest darmowa! Wisiał tutaj łańcuch, który święty przymocował sobie do włosów, by nie zapaść w sen podczas medytacji, w oczekiwaniu na objawienie od Boga... Objawienie!!!

Znów ten obłąkany śmiech. Podążamy za nim w głąb jaskini, gdzie mnich bierze czarną walizkę i wyciąga rękę w naszą stronę. Na jego zdeformowanym przez opuchnięte blizny nadgarstku dostrzegam wytatuowany czarny krzyż koptyjski. Wygląda to na skaryfikację. Ciarki przechodzą mi po plecach. Nie odrywając wzroku od brata Zachariasza, John sięga do plecaka, wyjmując pojemnik z trójkątem i wręcza go mnichowi. Ten bierze pojemnik w rękę i wsuwa go do kieszeni. Potem błyskawicznym, wężowym ruchem łapie walizkę i wybiega z jaskini, zatraskując nam drzwi przed nosem i przekręcając klucz. Jesteśmy uwięzieni.

Paraliżuje mnie strach, a jednocześnie odczuwam ulgę, że nie jesteśmy już na łasce tego psychopatycznego zakonnika. Odwracam się w kierunku Johna, gdyż w głowie zaświtała mi nieprzyjemna myśl. Biorąc pod uwagę jego wysportowaną sylwetkę, dlaczego nie próbował powstrzymać brata Zachariasza jakimś ciosem judo czy karate, a nawet zwykłym uderzeniem z głowy? Nie musielibyśmy teraz tu siedzieć, uwięzieni jak idioci.

Jakby czytając w moich myślach, John wyciąga swój telefon.

– Chciałem go skłonić do mówienia. Nagrałem jego wyznanie.

– Tak? A czy to pomoże nam się stąd wydostać?

– Nie, ale przyda się później. Chodź.

John schyla głowę i podchodzi do jakiegoś wgłębienia w jaskini, klękając przed nim. Pchnięciem otwiera małe drewniane drzwi prowadzące do drugiego tunelu, znacznie węższego niż pierwszy.

– W przeszłości mnisi zawsze byli przygotowani na różnego rodzaju inwazje. Zadbali więc o dyskretną drogę ucieczki. Jeśli pójdziesz za mną...

– Ale czy Zachariasz nie przewidział, że w końcu znajdziemy tę drogę?

– Prawdopodobnie tak. Ale zapewne sądzi, że będzie miał wystarczająco dużo przewagi nad nami, by w międzyczasie ukryć pieniądze w bezpiecznym miejscu. Czego by człowiek nie zrobił dla miliona dolarów...

W ciągu pół godziny szybkim krokiem pokonaliśmy całą drogę niskim korytarzem i znajdujemy się w piwnicy sąsiedniego klasztoru Deir el-Suryan. Wspinamy się po schodach wiodących do opuszczonej sali jadalnej, a potem wychodzimy na przestronny dziedziniec. W nocnym półmroku dostrzegam dwie wysokie, smukłe wieżyczki oraz masywną wieżę Qasr strzegącą wejścia do klasztoru – białego sześcianu z wieloma niewielkimi otworami. Opuszczony klasztorny most zwodzony nasuwa skojarzenie z zamkami wznoszonymi przez średniowieczną arystokrację. Zza muru warownego wylaniają się małe kopuły zwieńczone wielkimi krzyżami w kształcie trójlistnej koniczyny. Kolejne kapliczki. Tylko gdzie my tu znajdziemy jakąś żywą duszę w środku nocy?

John podchodzi do jednej z kaplic oświetlonych wątłym, migoczącym jak świeca światłem. Drzwi są otwarte. Zdejmujemy buty i przez nawę zmierzamy w stronę chóru, czyli Khurus, znajdującego się za sporym drewnianym łukiem. Jak zahipnotyzowana patrzę w górę na freski zdobiące ścianę, a potem na półkopułę – wciąż wywołują majestatyczne wrażenie, choć kolory wyblakły z upływem czasu. Dostrzegam pewne podobieństwa między wizerunkami proroków, aniołów, archaniołów i świętych a egipskimi malowidłami z jaskini, tak jakby gorliwość wyznawców nie zmieniła się przez wieki, bez względu na różnice między wierzeniami. Kuksańcem w bok John bezceremonialnie sprowadza mnie na ziemię, dając mi do zrozumienia, że tak jak on powinnam skłonić się przed grupą wystraszonych mnichów ukrytych w cieniu z boku chóru.

– Wybaczcie to wtargnięcie, bracia, nie musicie się nas obawiać...

Jesteśmy w ascetycznym biurze, gdzie po wysłuchaniu wyjaśnień i obejrzeniu nagrania na telefonie Johna, brat Kyrillos, opat klasztoru, zamyka oczy i odmawia cicho modlitwę. Potem bierze głęboki oddech i po kolei mierzy nas wzrokiem.

– Nasz patriarcha, ojciec Tawadros II, natychmiast musi zostać o tym poinformowany. Wtedy podejmie właściwą decyzję w sprawie tego, co należy zrobić z bratem Zachariaszem i odkrytą przez was jaskinią. Dajcie mi proszę swój telefon i poczekajcie tu na mnie.

Zdezorientowanym wzrokiem obserwujemy, jak kieruje się w stronę dużej ikony Chrystusa na krzyżu, z matką Maryją po prawej i apostołem Janem po lewej. Naciska palcami złotą aureolę Chrystusa, najjaśniejszą część obrazu. Mechanizm ukryty w drewnianym panelu podtrzymującym ikonę przesuwają się na bok i naszym oczom ukazuje się przejście do drugiego pomieszczenia.

Mamrocę z rozmarzeniem:

– „Najlepiej ukryte są te tajemnice, które mamy tuż przed oczami”...

Gdy panel z powrotem zamyka się za bratem Kyrillosem, John wstaje ze swojego miejsca i robi kilka kroków, by rozprostować nogi. Zatrzymuje się przed ikoną i przygląda się jej z uwagą. Mówi na głos, jakby prowadził wykład o sztuce bizantyjskiej.

– Krzyż jest połączeniem między niebem a ziemią, szubienicą, która przekształciła się w drzewo życia za sprawą męki i zmartwychwstania Chrystusa, stojącą na Golgocie, czyli w „miejscu czaszki”. W jaskini leży czaszka Adama, ojca ludzkości, nasiono zasadzone w ziemi, które musi obumrzeć, by wydać owoce...

Nagle John podbiega do mnie z okrzykiem i wybałuszonymi oczami.

– Leylo, musimy stąd uciekać i to natychmiast!!!

– Co jest z tobą?

– Ta tajemnica ukryta jest w cieniu! Na czaszce jest to samo logo w kształcie litery H, którego używa Hannibal Corp! Brat Kyrillos też dla nich pracuje!

Kolejne wydarzenia następują po sobie tak szybko, jak piasek wysypuje się z pękniętej klepsydry. Słyszę brzęczenie silnika, jakby szybko zbliżał się jakiś samochód. Pierwsze promienie słońca przedzierają się przez ciemność i okna biura, oślepiając nas. Ikona przesuwana się ponownie i z przylegającego pomieszczenia wchodzi brat Kyrillos, grożąc nam pistoletem automatycznym.

– Trzeba było przekazać przedmiot bratu Zachariaszowi. Ale próbowaliście być sprytni, więc stwierdził, że jesteście kłopotliwi...

Nic z tego nie rozumiem! Przecież John przekazał pojemnik na próbki bratu Zachariaszowi, a teraz chce go dostać brat Kyrillos??? I dlaczego John jest taki bierny?

– Kto stwierdził? Twój patriarcha czy szanowny pan John Fitzgerald Hannibal – odparł zimno John, idąc powoli w kierunku brata Kyrillosa. – Czym cię przekupił? Obiecał jakąś rozbudowaną ochronę dla waszej mniejszości? Ukrył jakieś niewygodne tajemnice, których nie chciałbyś ujawniać? Czy po prostu zaoferował grubą forszę?

Mnich robi krok w tył, zbity z tropu przez Johna.

– Opór nie ma sensu. Ludzie pana Hannibala będą tu za kilka sekund i zajmą się wami! Dajcie mi teraz prawdziwy trójkąt, a unikniemy niepotrzebnego rozlewu krwi!

Czuję się jak jakaś głupia marionetka, obserwując pojedynek, w którym w ogóle nie uczestniczę. O jakim trójkącie oni mówią?

John wsuwa rękę do lewej kieszeni dzinsów i wyciąga stamtąd pudełko na próbki, identyczne jak to, które wręczył bratu Zachariaszowi. Potrząsa nim i w środku słychać grzechotanie trójkąta. John wciąż zbliża się w kierunku mnicha.

– O to ci chodzi? Dobra, wygrałeś.

Mnich z wahaniem wyciąga dłoń. John przymierza się do przekazania mu pudełka, lecz nagle wykonuje błyskawiczny ruch i blokuje mu ramię, wywołując okrzyk bólu i mnich upuszcza rewolwer. John rzuca mi pudełko na próbki i walczy z nim, bo zdołał już się

wyrwać z uścisku i próbuje podnieść broń. Kopie go w tył kolan i mnich upada na ziemię. Potem John powala go jednym ciosem w tył karku, po którym przeciwnik traci przytomność. Na dziedzińcu słychać rozkazy wydawane mężczyznom wyskakującym z samochodów terenowych, więc John łapie mnie za rękę i wyprowadza z biura na tyły budynku. Wreszcie zaczynam rozumieć jego zachowanie. Miał w sobie tyle podejrzeń, że wręczył Zachariaszowi fałszywy trójkąt! Podjął ogromne ryzyko – myślę sobie, gdy pędzimy w kierunku tylnego wyjścia z budynku wychodzącego na mały dziedziniec, za którym jest ściana. Kilka metrów dalej dostrzegam wąskie schodki wykute w ścianie i biegniemy co sił w tamtą stronę. Już prawie jesteśmy na szczycie, gdy nagle dopada nas mocne światło reflektora i słyszymy lodowaty głos:

– Nie ruszać się. Jesteście otoczeni. Ręce do góry i za głowę.

Jakieś cienie biegną w naszym kierunku. Z mocno bijącym sercem wspinam się stopień wyżej i nagle kula trafia w skałę tuż pod moją stopą. Dobra, zrozumiałam. Powoli wykonuję polecenie, ale najpierw zerkam na Johna, a potem za mur. Czy powinniśmy skakać?

Odlamki kamienia fruują wokół nas, gdy przeskakujemy przez mur zewnętrzny. Biegnę w ślad za Johnem przez kamienie i piasek w kierunku drzew rosnących w dole. Zbocze staje się coraz bardziej strome, prowadząc nas w kierunku zdradliwych klifów. Słyszę, że gonią nas z tyłu, i po cichu modlę się do księżycy, który swoim zwężanym kształtem przypomina sztylety używane przez Hashshāshīn, perskich zabójców z XI wieku. Chciałabym mieć teraz przy sobie broń! I umieć jej używać! John bezgłośnie daje mi znać, żebyśmy się rozdzielili. Biegnę zygzakiem wśród drzew i kamieni, a moi prześladowcy powoli mnie doganiają na tym nierównym terenie. Jeden z nich krzyczy bez tchu tuż za mną:

– Stój albo odstrzelę ci nogi!

Niesiona siłą rozpędu, nie potrafię się zatrzymać... Wystrzeliwane z tyłu kule roztrzaskują gałęzie, skały i kamyki wokół moich stóp. Mam nadzieję, że John zdołał uciec. Czuję napływające wbrew mojej woli łzy, które rozmywają mi obraz przed oczami. Wycieram je z wściekłością i nagle z przodu wyłania się jakiś biały kształt. Przerazona, zatrzymuję się gwałtownie, by uniknąć zderzenia, i wtedy dociera do mnie, że to jest przecież biała klacz, córka księżycy! Instynktownie łapię ją za grzywę jedną ręką i wskakuję na grzbiet. Klacz nie czeka, aż ją poproszę, tylko biegnie co sił w nogach przez terytorium, które tak dobrze zna, zostawiając pościg daleko z tyłu.

Gdy już wydaje mi się, że ich zgubiliśmy, światło reflektorów goniącej nas terenówki przecina złowrogie cienie rzucane przez gałęzie. Ludzie Hannibala nie pozwalają swojej zwierzynie tak łatwo się wymknąć! Jak teraz przed nimi uciekniemy na otwartym terenie?

Bezpośrednio przed nami widać zarys pustynnej autostrady, przypominający świetlistego węża. Klacz biegnie prosto na nią! Prostuję się na jej grzbiecie i próbuję ją skłonić, by zwolniła, lecz ona kładzie uszy płasko po sobie i przyspiesza jeszcze bardziej, pędząc w dół zbocza i wzbijając za sobą chmury kamieni i pyłu. Ludzie w terenówce dostrzegli nas i są już niebezpiecznie blisko.

– Amiro, stój, proszę!

Klacz jednak nie chce mnie słuchać i biegnie dalej w stronę autostrady, z nozdrzami mocno rozszerzonymi od wysiłku. Mogłabym przerwać to wszystko i uratować ją przed gniewem moich prześladowców, którzy nie zawahają się jej zastrzelić. Mogłabym zeskoczyć z grzbietu Amiry i się poddać, dając jej szansę na ucieczkę. Ale z jakiegoś powodu postanawiam zaufać jej niezłomnej determinacji. Obejmuję jej szyję, wtulam twarz w jedwabistą grzywę i zamykam oczy z myślą, że moje życie dobiega końca. Rozbijemy się o samochody pod nami lub kule wystrzeliwane przez ludzi Hannibala porozrywają nas na strzępy.

Terenówka jest tuż za nami. Nagle czuję napinające się mięśnie klaczy, która wyskakuje w powietrze. Gdy otwieram oczy, wciąż siedzę na jej grzbiecie. Klacz zatrzymała się i zawróciła. Terenówka moich prześladowców z okropnym łoskotem metalu i stali rozbija się w przepaści, do której zwabiła ich Amira. Znając swoje terytorium na pamięć, tylko ona mogła przeskoczyć tę przepaść, wznosząc się w powietrze niczym złoty orzeł. Zaczynam się trząść z emocji po tym, co się stało, ale także z powodu ogromnej, niemożliwej do opisanego radości. Amira i ja, Indiana Leyla Jones, właśnie wykonałyśmy skok, który wymagał ogromnej wiary!

Długo głaszczę Amirę, która następnie zabiera mnie z powrotem do Deir el-Suryan. Ale tak samo jak za pierwszym razem, klacz zatrzymuje się na peryferiach klasztoru św. Pshoi, nie chcąc się zaniadto zbliżyć do innych ludzi. Gdyby mogła mówić, opowiedziałaby mi swoją historię. Ale w głębi serca rozumiem, że w tym miejscu musimy się pożegnać. Powoli zsiadam i delikatnie obejmuję kark mojej księżycowej księżniczki. Po raz ostatni czuję jej oddech na szyi, a potem klacz robi kilka kroków w tył i oddala się z dumą, z podniesionym ogonem i postawionymi uszami, zmierzając z powrotem w stronę swego dzikiego terytorium...

– To jest pyszne, proszę pani, ale ja naprawdę nie jestem głodny!

Wiedziałam, że zapoznanie Johna z ciotką Wadihą to nie był dobry pomysł.

– Uratowałaś moją siostrzenicę! Jesteś bohaterem!

– Ależ skąd, proszę pani, to klacz Amira okazała się prawdziwą bohaterką. Ja tylko...

– Prosiłam, żebyś mówił do mnie „ciociu” – przerywa moja ciotka, szczypiąc go czule w policzek, tak jak Egipcjanie często robią w przypadku dzieci. – Jesteś częścią naszej rodziny! No to powiedzcie, ile zamierzacie mieć dzieci?

Trudno stwierdzić, kto się bardziej zarumienił, ja czy John – oboje jesteśmy czerwoni jak papryczki! No dobra, gdy spotkaliśmy się po tym wszystkim w klasztorze Deir el-Suryan, pocałowaliśmy się namiętnie, ale cała ta gadka o małżeństwie i dzieciach...

Chociaż może za parę lat bym chciała!

Ale zanim to nastąpi, oprócz zajęć na uczelni i ostatnich wydarzeń, będziemy mieli bardzo dużo spraw na głowie. Historia jaskini z Wadi El Natrun ma swój ciąg dalszy. W opinii czołowych archeologów, którzy zaczęli ją badać, jaskinia została po raz pierwszy zamieszkana w latach 1350–1330 p.n.e. przez rzeźbiarza Ptahmose, który żył w czasach panowania faraona Echnatona i jego legendarnie pięknej żony Nefertiti. Na ścianach jaskini wykuł również swój testament. Najwyraźniej z własnej woli udał się na wygnanie, uciekając od królowej, która była obojętna na jego zaloty, i mieszkał w tej dolinie do końca swych dni, przy czym pod koniec życia jego wzrok najprawdopodobniej zaczął się pogorszać, sądząc po coraz mniej dokładnych naskalnych rysunkach. Bardzo smutna historia!

Fragment gwiazdy i papirus należące do Dimitriosa, żołnierza Aleksandra Wielkiego, przechowywane są teraz w bezpiecznych pomieszczeniach podziemi Muzeum Narodowego w Kairze i czekają, aż ktoś rozszyfruje tajemnice, które skrywają. John i Battushig godzinami rozmawiają przez Internet o tym, jaką wiadomość może zawierać gwiazda. Ja natomiast myślę głównie o niesamowitym koniu Bucefale, tak wiernie służącym Aleksandrowi w czasie jego podbojów. Mam nadzieję, że Hannibalowi nigdy nie uda się go namierzyć!

Z pomocą profesora Temudjina „sieć” Battushiga analizuje miejscowości i trasy na całym świecie (znane w tamtych czasach), na które Ptolemeusz mógł skierować swoich jeźdźców w celu zabezpieczenia fragmentów pieczęci wszechmocy przed ludzką chciwością. Profesor Temudjin sądzi, że Hannibal kierował się tą samą logiką i dlatego właśnie był szczególnie zainteresowany Egiptem, podbitym przez Aleksandra na wczesnym etapie jego kampanii. A kto lepiej nadaje się do wyszukiwania wskazówek niż mnisi, którzy znają starożytne języki, są kuratorami zabytkowych bibliotek i słuchają

spowiedzi?

Skoro mowa o mnichach, to ta historia zakończyła się fiaskiem. Po usłyszeniu naszej opowieści i obejrzeniu filmu nagranych przez Johna w piwnicy klasztoru św. Pshoi, zszokowane władze kościoła koptyjskiego wydalili brata Kyrillosa. Kyrillos wyznał, że został przekupiony, ale ponieważ ślubował pokutę i milczenie, niczego się od niego nie dowiemy... Zachariasz zniknął bez śladu wraz ze słynną walizką z milionem dolarów.

A my, no cóż, jakoś przetrwaliśmy to wszystko! By się rozerwać po tych wszystkich przygodach, zaprosiłam Johna na weekend do moich rodziców, którzy w doskonałych nastrojach wrócili z wycieczki na Hawaje. Trajkocząc wesoło w trakcie jazdy starą Simcą, uśmiecham się, wyobrażając sobie, że wjeżdżamy konno do ptasiego rezerwatu i szczebioczemy jak sroki, a potem gruchamy jak gołębie. O nie, jak tak dalej pójdzie, zacznę nazywać Johna moim „rozćwierkanym chłopakiem”!

Uśmiech wkrótce jednak znika z mojej twarzy. Muzykę w radiu nagle przerywa specjalne wydanie wiadomości.

„Ubiegłej nocy nastąpiło włamanie do Muzeum Narodowego w Kairze. Skradziono przedmioty o dużej wartości historycznej, lecz kierownictwo muzeum nie ujawnia żadnych szczegółów na ten temat. Jednemu z ochroniarzy pracujących w podziemiach na nocnej zmianie udało się przeżyć napad włamywaczy. Obecnie przebywa on na oddziale intensywnej terapii, ale jego obrażenia najprawdopodobniej nie zagrażają życiu.”

Na twarzy Johna widać przerażenie. Podobnie jak ja wie, że musi to być sprawa Hannibala. Przyrzekamy sobie po cichu, że z pomocą „sieci” i wszystkich ludzi, którzy zechcą nas wesprzeć, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by powstrzymać Hannibala przed realizacją jego niecnym planów!

Jeśli podobała Ci się ta historia, poznaj Amira i odkryj inne legendarne konie na www.howrse.pl